Poul Anderson

Opowieści z Avalonu

Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Skrzydła zwycięstwa (Wings of Victory), Analog, April 1972
Problem bólu (The Problem of Pain), The Magazine of Fantasy and Science Fiction, February, 1973
Bezskrzydli (Wingless), Children of Infinity, Roger Elwood, ed., Franklin Watts, 1973
Akcja ratunkowa na Avalonie (Rescue on Avalon), Boys' Life, July 1973

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Polskie tłumaczenia utworów z cyklu **Technic History** Poula Andersona. Kolejność na podstawie „Chronology of Technic Civilization” Sandry Miesel.

The Saturn Game, mikropowieść
Psychodrama, tłum. Wiktor Bukato, Iskry 1987, „Najdłuższa podróż” Solaris 2008
Wings of Victory, opowiadanie (Avalon)
Skrzydła zwycięstwa, tłum. Witold Bartkiewicz
The Problem of Pain, opowiadanie (Avalon)
Problem bólu, tłum. Witold Bartkiewicz
Margin of Profit, opowiadanie (van Rijn)
Margines zysku, tłum. S.M.G.
The Man Who Counts (War of the Wing-Men), powieść, (van Rijn)
Wojna skrzydlatych, tłum. Wiktor Bukato, Alfa 1985
Hiding Place, mikropowieść, (van Rijn)
Kryjówka, tłum. Wiktor Bukato
Kryjówka, tłum. J.M.
Territory, mikropowieść (van Rijn)
Terytorium, tłum. Wiktor Bukato
Terytorium, tłum. J.M.
The Master Key, opowiadanie, (van Rijn)
Uniwersalny klucz, tłum. J.M.
Lodestar, opowiadanie, (van Rijn i Falkayn)
Gwiazda przewodnia, tłum. Wiktor Bukato
Wingless, opowiadanie (Avalon)
Bezskrzydli, tłum. Witold Bartkiewicz
Rescue on Avalon, opowiadanie (Avalon)
Akcja ratunkowa na Avalonie, tłum. Witold Bartkiewicz
The Star Plunderer, opowiadanie
Założyciele, tłum. S.M.G.
Sargasso of Lost Starships, mikropowieść
Sargassy zaginionych statków, tłum. Witold Bartkiewicz
Bermudy zaginionych statków, tłum. Ewa Chani Skalec, „Gwiezdny statek” Stalker Books 2022
The People of the Wind, powieść, (potomkini Falkayna i przodek Flandry’ego)
Ludzie Wiatru, tłum. Witold Bartkiewicz
The Day of Their Return, powieść, (*Aycharaych* ale nie Flandry)
Dzień ich powrotu, tłum. nieznany
Tiger by the Tail, opowiadanie, (Flandry)
Tygrysa za ogon, tłum. Witold Bartkiewicz
Honorable Enemies, opowiadanie, (Flandry)
Godni wrogowie, tłum. Witold Bartkiewicz
A Message in Secret (Mayday Orbit), mikropowieść, (Flandry)
Wiadomość, tłum. Waldemar Król
A Handful of Stars (We Claim These Stars!, Hunters of the Sky Cave), powieść, (Flandry i Aycharaych)
Garstka gwiazd, tłum. Witold Bartkiewicz

The Night Face (Let the Spacemen Beware!), powieść
Oblicze nocy, tłum. nieznany, wyd. klubowe
The Sharing of Flesh, opowiadanie
Pod postacią ciała, tłum. Wiktor Bukato, „Księżyc łowcy”, Iskry 1987, „Najdłuższa podróż” Solaris 2008.

Wprowadzenie do „Skrzydeł zwycięstwa”

Dla tych, którzy czytają te słowa, dobrych lotów.

Pisze je Hloch z Choth Stormgate, na szczycie Mount Anrovil w Weathermother. Poprosił go o to jego Wyvan, Tariat, syn Lythrana i Blawsy. Choć Hloch słabo rozumie tę materię, duma krwi wymaga, aby podjął się tego zadania.

Osądźcie to sami, o bracia. Ojcem Hlocha był Ferannian, a matką Rennhi. Mieli ziemię wokół Jeziora Spearhead. On był inżynierem, który często bywał w Gray, Centauri i innych miastach, mając wiele do czynienia z ludźmi. Oni równie często przybywali do niego, ponieważ ponad jego ziemią przecinały się szlaki podróżne, a niedaleko znajdowała się kopalnia miedzi. Rodzice Hlocha byli otwarci na gości i przyjmowali każdego, kto okazywał im szacunek, dając mu możliwość wędrówek i polowania. Ponadto, jak dobrze wiecie, ze względu na bliskość licznie zaludnionego Gray, nasz choth przyjmuje więcej ludzi niż większość innych. Dlatego my, młodzi, dorastaliśmy w przyjaźni z wieloma przedstawicielami tej rasy i poznaliśmy wiele wiatrów, które wieją im w duszach.

Rennhi była przeszukiwaczką wieków, pamiętaną ze względu na swoją wiedzę i płomień, jaki rozniecała w tych, których uznała za stosowne nauczać. Przede wszystkim zapamiętano ją za napisanie „Sky Book of Stormgate”. Jak dobrze wiecie, opisała w niej całą historię naszego choth. O przodkach na Ythri; o założycielach kolonii tutaj, na Avalonie; o ich potomkach oraz ich czynach aż do jej własnych lat; o tym, jak przeszłość, teraźniejszość i przyszłość od zawsze mieszają się ze sobą, a w żywych umysłach zawsze na siebie oddziaływają - jej dzieło dąży ku prawdzie i będzie trwało tak długo, jak długo myśl będzie unosić się nad naszym światem.

Bóg wskazał ją palcem, zanim mogła rozpocząć następną kronikę. Zdążyła już zebrać wiele potrzebnych informacji, w czym pomagał jej syn, Hloch. Potem nadeszła Wojna Terrańska, a kiedy minęła, zrujnowane ziemie leżały pod dziwnym niebem. Wciąż podnosimy nasze życie na nowo, ze zgliszczy pozostawionych przez ten huragan. Hloch, który służył w kosmosie, znalazł się później na imperialnych planetach, jako członek załogi kupieckiej, kiedy handel się odrodził. W ten sposób zyskał szansę jeszcze bliższego poznania gatunku ludzkiego.

Tak też myślał Wyvan Tariat, kiedy Hloch zmęczył się próżnią i powrócił na wiatry. Jego słowa: „Musimy zrozumieć rzeczywistość ludzi, zarówno tych, którzy mieszkają wśród nas, jak i tych, którzy pochodzą z Imperium. Twoja matka wiedziała, że w tym celu najlepiej jest latać ich drogami i spoglądać ich oczami - bardziej duszy niż ciała - abyśmy mogli wyczuć, co nas czeka w przyszłości. Hloch, napisz księgę, której ona nie zdążyła napisać”.

Dlatego spójrzcie na te kroniki, od Odkrycia aż po próbę Grabieży Świata. Zbierane są one z różnych drzew i niewiele z nich wydaje się od

razu rosnąć w kierunku tego samego słońca. A jednak rosną, wszystkie z nich. Jest to opowieść, opowiedziana na nowo, o tym, jak Avalon został zasiedlony, a tym samym powstał nasz choth. Nie jest to historia opowiedziana przez Rennhi i tych, od których czerpała przy tworzeniu Księgi Nieba, lecz przez Terran, którzy chodzą po ziemi. Hloch postara się wyjaśnić coś, co jest nam obce: gdyż tylko poprzez zanurzenie umysłu w tej obcości można mieć nadzieję na zdobycie stojącej za nią wiedzy.

Tak więc, czytajcie.

Hloch z Choth Stormgate
„The Earth Book of Stormgate"

Skrzydła zwycięstwa
(Wings of Victory)

Analog, April 1972

Nasz udział w Wielkim Misji Badawczej zaprowadził nas poza wielkie słońca Alfa i Beta Crucis. Patrząc z Ziemi znaleźliśmy się w gwiazdozbiorze Lupus. Ale Ziemia była odległa o 278 lat świetlnych, Sol dawno zniknęło w oddali, zaś gwiazdy układały się na tle ciemności kosmosu w dziwne kształty.

Po trzech latach misji czuliśmy zmęczenie i ponieśliśmy straty. Och, wrażenie wspaniałości nie uleciało. Jakże mogłoby ulecieć – przy tej paradzie kolejnych badanych planet? Ale zobaczyliśmy ich już tak wiele, zaś spośród tych na których stanęliśmy, część była piękna, część straszna, a większość i taka i taka (tak jak Ziemia). Żadna nie była jakoś zupełnie odmienna od innych, a wszystkie bez wyjątku były bardzo tajemnicze. Zlewały się już ze sobą w naszych głowach.

Perspektywa odnalezienia innej rozumnej rasy wciąż przyprawiała nas o szybsze bicie serca, prawdę mówiąc bardziej niż kwestia odnalezienia kolejnej planety nadającej się do kolonizacji przez człowieka. Do dzisiejszego dnia, Ali Hamid zginął na skutek trującego ukąszenia, rok temu, a Manuel Gonsalves nie doszedł jeszcze do siebie po rozbiciu głowy maczugą przez podekscytowaną istotę, podczas naszego ostatniego postoju. W ten sposób Vaughn Webner stał, się głównym ksenologiem, które to wydarzenie miało lec u źródeł naszych kłopotów.

Nie żeby on, czy ktokolwiek z nas, tego chciał. We wszechświecie, który nie został zaprojektowany specjalnie dla ciebie, albo nauczysz się

postępować ostrożnie, albo zginiesz; nie ma trzeciego wyjścia. Zbliżyliśmy się do tej następnej gwiazdy, ponieważ kuszący był dla nas każdy karzeł typu G. Ale nie weszliśmy na orbitę wokół jej najbardziej terrestroidalnego potomka, dopóki analiza neutrinowa nie zweryfikowała, że nikt w układzie nie wyzwolił energii atomowej. Wyczerpaliśmy wszelkie możliwości naszych przyrządów, zanim wysłaliśmy pierwszą sondę-robota.

Słońce należało do klasy G9, o złotym odcieniu i jasności równej połowie jasności Słońca. Planeta, która nas interesowała, znajdowała się na tyle blisko niego, że otrzymywała mniej więcej takie samo nasłonecznienie co Ziemia. Była mniejsza, jej grawitacja powierzchniowa wynosiła 0,75, a atmosfera była rzadsza i bardziej sucha. Powietrze absolutnie nadawało się jednak do oddychania dla ludzi i istniały na niej zbiorniki wodne, które można było określić nawet skromnymi oceanami. Glob był bardzo piękny, obracając się na tle wypełnionej gwiazdami nocy kosmosu, błękitny, płowy, rdzawo-brązowy, pokryty białymi chmurami. Towarzyszyły mu dwa małe księżyce.

Próbki biologiczne dowiodły, że życie chemicznie planety miało podobny charakter do naszego. Żaden z wyhodowanych przez nas mikroorganizmów nie stanowił zagrożenia, z którym nie poradziłyby sobie zwykłe środki ostrożności i leki. Zdjęcia wykonane na niskiej orbity i naziemne pokazywały lasy, jeziora, rozległe równiny ciągnące się w stronę gór. Chcieliśmy postawić na niej stopę.

Tylko, że tubylcy…

Musicie pamiętać, jak nowym urządzeniem jest hipernapęd i jak ogromny jest kosmos. Organizatorzy Wielkiej Misji Badawczej byli zbyt mądrzy, by wierzyć, że parę sąsiednich układów, o których czegoś się dowiedzieliśmy, daje nam wiedzę wystarczającą do opracowania powszechnie obowiązującej doktryny. Nasza służba miała jedno prawo, które stanowiło jej dumne motto: „Przybywamy jako przyjaciele”. W innych sprawach każda załoga miała prawo do wypracowania własnych procedur. Po pięciu latach ci, którzy przeżyją, mieli się spotkać i porównać doświadczenia.

Dla nas znajdujących się, na pokładzie *Olgi*, kapitan Gray zdecydował, że o ile to możliwe, istoty rozumne nie powinny być niepokojone wstępnymi obserwacjami naszych maszyn. Mieliśmy się starać, aby umieszczać sondy w niezamieszkałych regionach. Kiedy sami wylądujemy, mieliśmy otwarcie się ujawniać. W końcu kształt ciała liczy się znacznie mniej niż kształt umysłu w środku. Takie było nasze przekonanie.

Naturalnie, z orbity i z przelotów w górnych warstwach atmosfery naszej planety, pobraliśmy wszelkie możliwe dane. Choć w takich warunkach nie przyniosły one zbyt wielu informacji, nasze zdjęcia ujawniły kilka małych miast na dwóch kontynentach – a przynajmniej skupisk budynków, pozbawionych jednak murów obronnych i regularnych ulic - otoczonych prymitywnymi kopalniami. Wydawały się one tak nieistotne na tle ogromnych i prawie bezludnych terenów. Domyślaliśmy się, że uda nam się zidentyfikować różne kultury, od epoki kamienia do żelaza. Niezmiennie jednak, poza tymi niewielkimi społecznościami miejskimi, inne osady składały się z jednego lub kilku samotnie stojących domów.

Nie znaleźliśmy żadnego oddalonego od siebie o mniej niż o dziesięć kilometrów; większość była jeszcze bardziej odizolowana.

— Mięsożercy, jak się spodziewam powiedział Webner. — Prymitywne gospodarki mają charakter łowiecko-rybacko-zbieracki, a zaawansowane pasterski. Duże obszary, które wyglądają na ziemie uprawne, prawdopodobnie służą tylko do zapewnienia paszy; nie mają układu prawdziwych farm. — Pociągnął się za podbródek. — Przyznaję, że zastanawiam się, jak cywilizowane - no, powiedzmy, że „metalurgiczne" ludy na tym etapie - sobie z tym radzą. Na tym poziomie technologii potrzebny jest handel, komunikacja, szybka wymiana myśli. A jeśli dobrze odczytuję zdjęcia, drogi tutaj praktycznie nie istnieją, jest tylko kilka polnych ścieżek między miastami i kopalniami, lub do sporadycznych nabrzeży dla barek lub statków - wierzcie mi, transport wodny jest rozwinięty zdecydowanie niedostatecznie.

— Może zwierzęta juczne? — zasugerowałem.

— Za wolne — stwierdził. — Nie da się stworzyć rozwijających się kultur, jeśli muszą minąć miesiące, zanim nieliczne jednostki zdolne do oryginalnych pomysłów, dowiedzą się o nich nawzajem. Są nawet szanse, że nigdy się nie dowiedzą.

Na chwilę z jego sposobu bycia zniknęła jego zwykła sztywność.

— No cóż — podsumował, — zobaczymy — co było najwspanialszym zdaniem, jakie może stworzyć jakikolwiek język.

Zawsze na początku kontakt prowadziły trzy osoby, gdyż był to najmniejszy zespół, jaki mógł wykonać to zadanie, co w razie wypadku pozwalało minimalizować straty. Tym razem byli to Webner, ksenolog, Aram Turekian, pilot i Yukiko Sachansky, strzelec. Zlecanie tego ostatniego zadania kobietom, było pomysłem Graya. Uważał, że są one lepsze od mężczyzn w obserwacji i wyczekiwaniu, mniej skłonne do otwierania ognia w wątpliwych sytuacjach.

Wybrano miejsce w jednej z domen metalurgicznych, choć nie było to miasto. Po co niepotrzebnie komplikować sprawy? Osada znajdowała się na nierównej wyżynie, porośniętej gęstym lasem, rozciągającej się na obszarze wielu kilometrów. Od północy wznosiły się stromo zbocza gór, aż powyżej linii lasu ich skały wieńczył lodowiec. Na południu teren opadał ku wielkiemu płaskowyżowi, otwartej krainie, gdzie na czerwonawym odpowiedniku trawy lub krzewów pasły się stada zwierząt. Może były udomowione, może nie. Tak czy inaczej, prawdopodobnie mieszkańcy i tak sporo polowali.

— Czy to tłumaczy ich rozproszenie? — zastanawiała się Yukiko. — Duże terytorium potrzebne do utrzymania każdego osobnika?

— W takim razie muszą posiadać silne instynkty terytorialne — zauważył Webner. — Trzeba postępować ostrożnie i mieć broń gotową do strzału.

Nie zabraniano nam bronić się przed atakami, niezależnie od tego, czy sprowokowałyby je nasze błędy, czy jakieś inne przyczyny. Mimo to

dziewczyna skrzywiła się. Turekian zerknął przez ramię i dostrzegł jej minę. To oraz ton Webnera sprawiły, że lekko poczerwieniał.

— Wyhamuj trochę, Vaughn — burknął.

Długa, chuda sylwetka Webnera zesztywniała w fotelu. Światło odbiło się od skóry głowy pod jego rzadkimi włosami, gdy wykręcił ją w stronę pilota.

— Co powiedziałeś?

— Ogranicz się do swojej roboty i zajmuj się tym, na czym się znasz.

— Zachowuj się. Może i dowodzę po raz pierwszy, ale jestem...

— Dowodzić będziesz na ziemi. Na razie jesteśmy jeszcze w górze.

— Proszę. — Yukiko wyciągnęła ręce ze swej wieżyczki i położyła dłonie na ramionach obu mężczyzn. — Proszę, nie kłóćcie się... teraz, kiedy mamy stanąć wobec zupełnie nowej historii.

Nie mogli odmówić jej życzeniu. Choć ubrana w workowaty, obciążony narzędziami kombinezon, malutka Euroazjatka pozostawała najbardziej pożądaną kobietą na pokładzie *Olgi*, a reszta dziewcząt mimo to wciąż ją lubiła. Gonsalves określił ją słowem simpático.

Mężczyźni uspokoili się tylko pozornie. Stanowili źle dobraną parę, nie byli może wrogami - nie przyjmuje się do załogi osób, które pozwalałyby sobie na uczucie nienawiści - ale nie byli przyjaciółmi. Webner był typem naukowca, profesorem ksenologii na Uniwersytecie Oceanii. W młodości wykonał świetną pracę w terenie, zwłaszcza w dziedzinie kultur szlaków handlowych Cynthii, i był ceniony przez swoich przełożonych. W głębi serca był jednak teoretykiem, którego średni wiek uczynił nieco dogmatycznym.

Turekian był jego przeciwieństwem: młody, krzepki, czarnowłosy, hałaśliwy i żywiołowy, urodził się na Marsie, by wieść życie polegające na buszowaniu po dostępnym wszechświecie. Gdyby choć połowa jego przechwałek była prawdziwa, byłby najodważniejszym poszukiwaczem przygód, najtwardszym wojownikiem i najwspanialszym kochankiem w historii ludzkości. Z drugiej strony jednak, był zdolny, uprzejmy, pomocny i popularny - co mogło budzić zazdrość w biednym Webnerze.

— Dobra, jasne — roześmiał się Turekian. — Dla ciebie wszystko, Yu. — Posłał w jej kierunku całusa.

Webner nie ugiął się tak łatwo.

— Co miałeś na myśli mówiąc, że mam zajmować się tym, na czym się znam?

— Nic, nic — próbowała uspokoić sytuację dziewczyna, niemalże błagalnym tonem.

— A jednak, nieco więcej niż nic — nie ustępował Turekian. — Odrobinkę. Ja tylko chciałbym, żebyś był nie był aż tak pewien, że twoja nauka ma ostatnie słowo w kwestii wszystkich możliwości. Rzeczy, które widziałem…

— Słyszałem już to twoje gadanie — zadrwił Webner. — W dżungli na jakimś egzotycznym świecie spotkałeś zwierzęta na kółkach.

— Nigdy tego nie powiedziałem. Hm-m-m... chociaż byłaby z tego niezła historia, co?

— Nie, bo to absurd. Wystarczy zadać sobie pytanie, w jaki sposób pożywienie miałoby przechodzić z kości osi do komórek na dysku. Podobnie zresztą…

— Taa, taa. A teraz prosiłbym już o ciszę. Muszę nas sprowadzić na dół.

Punkt docelowy pojawił się wkrótce na dziobowym ekranie. Huk powietrza przenikał tłumiony przez płyty kadłuba, a wibracje wstrząsały ich ciałami. Turekian nie lubił robić niczego powoli. Poza tym powolne schodzenie mogło dać autochtonom czas na rozwój paniki, co mogłoby mieć tragiczne konsekwencje.

Spoglądając góry, ludzie dostrzegli dom położony na krawędzi kanionu, na dnie którego płynęła szarozielona rzeka. Budowla była kamienna, masywna i pokryta dachówką. Trzy kolejne budynki łączyły się, tworząc brukowany dziedziniec. Te były drewniane, długie i niskie, ich wierzchołki wyłożono jakąś kwitnącą darnią. Na zewnątrz czworoboku znajdowała się zagroda dla czworonożnych zwierząt, a nieopodal stał rząd czegoś, co Turekian nazwał przerośniętymi budkami dla ptaków. Zespół budynków otaczała łąka. Ze wszystkich stron napierały na nią lasy.

Pełno tu było ptactwa, czy też raczej ornitofauny, ich stada porozrzucane były po całym niebie. Para szczególnie dużych stworzeń unosiła się bezpośrednio nad farmą. Skręciły ostro, gdy łódź opadała ku ziemi.

Nagle w całym domu zatrzepotały skrzydła. Z okien śmignęły latające stworzenia, co najmniej kilka, różnej wielkości, od malutkich, które przylgnęły do pleców dorosłych, do takich, które przyćmiewały nawet ogromne, wymarłe kondory z Ziemi. W łopocie brązowych piór, w burzy uderzeń skrzydeł, które zahuczały przez kadłub, stworzenia wzbiły się w powietrze, uciekły i zniknęły wśród koron drzew.

Ludzie wylądowali w miejscu, które było zupełnie puste.

Webner i Turekian, trzymając ręce blisko broni, ruszyli naprzód, rozejrzeli się dokoła i pozwolili, by planeta by wniknęła w ich zmysły.

Pierwsze spotkanie z nowym światem zawsze wywołuje tego rodzaju wstrząs. Nowo odkrytą planetę oddziela od twojej nie tylko przestrzeń, ale także czas, co najmniej pięć miliardów lat. Często mija wiele minut, zanim można tak naprawdę zobaczyć otaczające człowieka kształty, są tak obce. Wcześniej rejestrowało je tylko oko, ale nie mózg.

Tutaj było w znacznym stopniu jak w domu. Jednak dziwnych elementów była liczba wręcz niepoliczalna.

Waga: trzy czwarte tej, która utrzymywana była na statku. Łatwość, sprężystość kroku... i konieczność subtelnego dostosowania ruchowego, bardziej sensorycznego niż mięśniowego.

Powietrze: podobne do ziemskiego na wysokości około dwóch kilometrów. (Gradient grawitacji był mniejszy, spadek gęstości powietrza nad poziomem morza, następował więc wolniej). Krystaliczna widoczność, chłodny przepływ i szmer bryzy, szum gałęzi i szum rzeki w kanionie.

Każdy zapach inny, bez cienia spalonej słońcem żywicy czy zbutwiałych liści, zamiast tego mieszanina zapachów przydymionych i cierpkich.

Światło: ciepło złote, sprawiające, że kolory były bogatsze, a cienie głębsze, niż można było się spodziewać; poranne słońce, mające prawie połowę pozornej średnicy ziemskiego, na niebie, które było ciemnoniebieskie i widniały na nim tylko cienkie smużki chmur.

Życie: stada dzikich stworzeń, kołujących i krzyczących wysoko nad głowami; skrzeki i beczenia z zagrody; szeleszczący dywan roślinny pod stopami, sprężysty, przypominający bardziej mech niż trawę, choć w niewielkim stopniu podobny do nich obu, usiany wykwintnymi kwiatami; drzewa, których liście były zielone (od srebrzystych do mętnych), których kora (jeśli to była kora) mogła być czarna lub szara, brązowa lub biała, których kształty były dla człowieka w bardzo niewielkim stopniu dziwniejsze niż sosny czy miłorzęby, jeśli pochodził on z krainy dębów i buków, ale które były odmienne od wszystkich drzew rosnących na Ziemi. Obok przeleciał rój entomoidów podobnych do komarów i duża „ćma" o miedzianych skrzydłach, która spokojnie na nich żerowała.

Sceneria: wspaniała. Ponad lasem wznosiły się w niebo górskie szczyty, mieniły się błękitem lodowce. Po prawej stronie ściany kanionu pokrywały się różowymi, ochrowymi pasmami i były malowniczo poszarpane. Ale uwagę przyciągało przede wszystkim to, co było z przodu.

Dom miał zdumiewające rozmiary.

— Prawdziwy zamek — wykrzyknął Turekian.

Sześcian o wysokości około dwudziestu metrów wznosił się aż po wieńczący go dach, zbudowany z dobrze obrobionych bloków granitu. Okna wskazywały na sześć pięter. Były to duże otwory, wyposażone w drewniane okiennice i balkony z kutego żelaza. Jedyne drzwi, na poziomie gruntu, były zamknięte i masywne. Rogi, czaszki i rzeźbiona broń - noże, włócznie, krótkie miecze, dmuchawki, łuki i strzały - zdobiły fasadę.

Budynki towarzyszące były bez wątpienia stodołami lub szopami. Na nich również wisiały trofea. Zwierzęta w zagrodzie wyglądały na ssaki i prawdopodobnie wcale nimi nie były. Dwa gatunki z grubsza przypominały konie i woły, trzeci owce. Nie było ich wiele, nie mogły stanowić całego źródła utrzymania tutejszych mieszkańców. W „gołębnikach" trzymano ornitoidy wielkości indyków, które nie były trzymane w kojcach, ale przed opuszczeniem terenu powstrzymywali je trzej jastrzębiopodobni strażnicy.

— Psy stróżujące — określił je Turekian. — Nie, sokoły stróżujące.

Nadlatywały, zaniepokojone najściem.

Ze słuchawki za uchem Turekiana dobiegł tęskny głos Yukiko:

— Mogę do was dołączyć?

— Zostań przy działkach — odpowiedział Webner. — Nie poznaliśmy jeszcze właścicieli tego miejsca.

— Co? — żachnął się Turekian. — Odlecieli sobie. Uciekli, gdy tylko zobaczyli, że się zbliżamy.

— Tacy płochliwi? — spytała Yukiko. — To nie pasuje do faktu, że są takimi zagorzałymi łowcami.

— Wręcz przeciwnie, wyobrażam sobie raczej, że są dosyć zuchwali — odparł Turekian. — Doszli do szybkiej konkluzji, że musimy być wrogo

nastawieni, ponieważ oni nie wkroczyliby nieproszeni na czyjś teren, gdyby nie mieli nieprzyjaznych zamiarów. Ponieważ nasze siły są nieznane, a oni mają żony i dzieci, o które muszą się martwić, przezornie uciekli. Spodziewam się, że walczące samce - lub cokolwiek tu mają - wkrótce powrócą.

— O czym ty mówisz? — spytał Webner.

— O miejscowych. — Turekian puścił mu oko. — Widziałeś ich.

— Te gigantyczne ornitoidy? Nonsens.

— Czemu? Wyleciały prosto z domu!

— Zwierzęta domowe. — Rysy Webnera napięły się. — Chociaż nie przeczę, że mamy tu do czynienia z zagadką.

— Zawsze tak jest — wtrąciła cicho Yukiko.

Webner skinął głową.

— To prawda. Jednak fakty i logika zawsze pozwalają na rozwiązanie każdej zagadki. Nie komplikujmy sobie zadania pseudo-problemami. Czymkolwiek by one nie były, te latające stwory, które widzieliśmy, nie mogą być inteligentnymi istotami. Na planecie tak podobnej do Ziemi jak ta, istnienie ptasiokształtnych stworzeń rozumnych jest niemożliwe.

Wyprostował się.

— Podejrzewam, że mieszkańcy gdzieś się zabarykadowali — zakończył. — Podejdźmy bliżej i wykonajmy parę pokojowych gestów.

— Które mogą zostać źle zrozumiane — stwierdził z powątpiewaniem Turekian. — Strzała lub oszczep może zabić tak samo jak blaster.

— Osłaniaj nas, Yukiko — rozkazał Webner. — Za mną, Aram. Jeśli masz dostatecznie dużo odwagi.

Ruszył przed siebie, pod okiem dziewczyny. Turekian zaklął i w pośpiechu dołączył do niego.

* * *

Byli już blisko drzwi, gdy padł na nich cień z góry. Obrócili się i spojrzeli w niebo. Niewyraźny oddech Yukiko szemrał im z odbiorników.

W górze unosił się jeden z wielkich ornitoidów. Światło słoneczne padało na jego zewnętrzne lotki, nadając im złocisty kolor. Poza tym był ciemny jak burzowa chmura. W ciągu sekundy przebił się przez wiatr i zanurkował na nich.

Widok był przerażający. Dopiero później ludzie zdali sobie sprawę z tego, że również wspaniały. Skrzydła miały sześć metrów rozpiętości. Przed nimi otwierał się pysk pełen ostrych, białych kłów. Dwie nogi o długości i grubości prawie ludzkich ramion kończyły się wyciągniętymi do przodu krzywymi szponami. Z kątów skrzydeł wyrastały pazury. Pchnięcie za pchnięciem skrzydła te napędzały stworzenie z prędkością torpedy. Powietrze gwizdało i huczało.

Broń niemalże sama wskoczyła w dłonie ludzi.

— Nie strzelać! — Krzyk Yukiko dobiegł jakby z bardzo daleka.

Wspaniały potwór był już blisko. Ogień buchnął z broni Webnera. W tym samym momencie zwierzę wyhamowało - wykręcenie piór, trzask i

podmuch prosto w ich twarze - i popędziło z powrotem w górę, dwa metry przed zderzeniem.

Wzrok Turekiana wyrył w jego mózgu obraz, który będzie potem w kółko analizował. Nieznajomy był opierzony, z pewnością ciepłokrwisty, ale nie był ptakiem. Pod mocną szyją sterczała kość mostka, przypominająca dziób statku. Głowa zakończona była tępym nosem, brakowało mu zewnętrznych uszu; w jakiś fantastyczny sposób, Turekian dostrzegł, że usta drapieżnika miały wargi. Język i podniebienie były fioletowe. Dwoje wielkich złotych oczu wbijało się w niego, paląc go spojrzeniem. U góry wyrastał sztywny grzebień z białych piór o czarnych końcówkach, dający powierzchnię do sterowania i stanowiący ochronę dla wygiętej do tyłu czaszki. Ogon w kształcie wachlarza był w tych samych kolorach. Ciało miało barwę mahoniu, stwór miał nagie nogi i żółte pazury.

Strzał Webnera trafił lotki z lewej strony. Po wybuchu płomieni pojawił się w nich dym. Stwór wydał z siebie wysoki krzyk, zachwiał się i rzucił do odwrotu. Uszkodzenia nie były trwałe, prawdopodobnie nie spowodowały bólu, ale teraz skrzydło było jedynie w połowie użyteczne.

Turekian miał więc czas, by dostrzec na jego ciele trzy równoległe szczeliny. Zdążył pomyśleć, że po drugiej stronie muszą być trzy kolejne. Dziwnie przypominały skrzela. Gdy skrzydła się uniosły, zobaczył, że szczeliny się rozwierają, jak jakieś potrójne rozcięcie, a gdy skrzydła zaczęły opadać, dostrzegł, że szczeliny się zamykają.

Następnie rzucił się na Webnera.

— Rzuć to, ty zakrzepły móżdżku! — krzyknął.

Chwycił ksenologa za nadgarstek ręki w której tamten trzymał broń. Zaczęli się siłować. Zmusił Webnera do rozwarcia palców. W międzyczasie ranny ornitoid wrócił do swojego towarzysza. Odlecieli uderzając skrzydłami.

— Co ty wyprawiasz? — Webner chwycił Turekiana za ubranie na piersiach.

Pilot odepchnął go brutalnie. Ksenolog upadł. Turekian złapał za swój powiększacz.

Korony drzew odcięły mu widok. Pozwolił by przyrząd opadł.

— Za późno — jęknął. — Przez ciebie.

Webner wyprostował się, wstrząśnięty i blady z wściekłości.

— Czyś ty postradał zmysły? — wydyszał. — Jestem twoim dowódcą!

— Może nadajesz się do dowodzenia plastikowymi kaczuszkami w wannie — warknął Turekian. — Strzelać do tubylca!

Webner był zbyt zaskoczony, by odpowiedzieć.

— A na koniec zepsułeś mi możliwość dobrego przyjrzenia się Numerowi Dwa. Wydaje mi się, że zauważyłem na nim uprząż, w której trzymał coś, co mogło być bronią, ale nie jestem pewien. — wyrzucił z siebie Turekian.

— Aram, Vaughn — błagała Yukiko z łodzi.

Jeszcze przez chwilę mężczyźni spoglądali na siebie wściekle, najeżeni. Potem Webner zaczerpnął tchu, wzruszył ramionami i oznajmił łamiącym się głosem:

— Przypuszczam, że to na mnie spoczywa obowiązek przedstawienia sprawy w rozsądny sposób, skoro ty nie jesteś do tego zdolny. — Zrobił chwilę przerwy. — Zachowuj się rozsądnie, a usprawiedliwię twoje zachowanie, jako spowodowane podekscytowaniem. W przeciwnym razie będę musiał zarekomendować zwolnienie cię z dalszych obowiązków w zadaniach pierwszego kontaktu.

— Ja miałbym zostać zwolniony? — Turekian z trudem powstrzymał pięść, ale trzymał je zaciśnięte. Oddech rzęził mu w płucach.

— Nie lepiej będzie sprawdzić dom? — spytała Yukiko.

Świadomość, że coś, cokolwiek, może czaić się za tamtymi murami, przywróciła im nieco zimnej krwi.

Poza żywym inwentarzem, zagroda była pusta.

Zamiast obrażać mieszkańców, wyważając ich masywne drzwi, poszukiwacze wlecieli przez okno na jednostkach grawitacyjnych. Na każdym piętrze znaleźli tylko jedno lub dwa pomieszczenia. Najwyraźniej bardziej niż prywatność ci ludzie cenili sobie dużą przestrzeń i wysokie sufity. W górę i w dół prowadziły koliste schody, których krótkie stopnie wydawały się być niezgodne z poprzednim wnioskiem. Wystrój wnętrz był surowy i niezbyt reprezentacyjny. Meble składały się głównie z ław i stołów. Nie znaleziono nic takiego jak łóżko czy materac. Czy tubylcy spali, a jeśli tak, to na siedząco lub stojąco? Całkiem możliwe. Wiele gatunków jest w stanie w dowolny sposób blokować stawy kończyn.

Przechowywana żywność wskazywała na mięsożerny charakter gospodarzy. Wszędzie było pełno narzędzi, broni, naczyń, tkanin, dobrze wykonanych, starannie przechowywanych. Potwierdzały one technologię na poziomie epoki żelaza, odpowiadającą mniej więcej ziemskiej cywilizacji klasycznej. Zdarzały się wyjątki: na przykład parę książek, najwyraźniej ręcznie drukowanych. Jakże gorliwie te strony musiały być wertowane! Lecz jedynymi ilustracjami były w jednym przypadku diagramy właściwe dla tekstu dotyczącego geometrii a w innym dla podręcznika kamieniarskiego. Czy ta kultura uznawała obrazy należących do niej istot za tabu, czy też łódź po prostu trafiła na dom, w którym akurat ich nie było?

Układ i zawartość domu, a także szop, które zostały zbadane, dały niewiele wskazówek. Nikt nie spodziewał się czegoś lepszego. Wyobraźcie sobie nie-ludzkiego ksenologa, odwiedzającego Ziemię, zanim człowiek wyruszył w kosmos. Jakie wnioski mógłby wyciągnąć z obejrzenia miejsca zamieszkania i paru przedmiotów gospodarstwa domowego należących do, powiedzmy, Europejczyka, Eskimosa, pigmeja z Kongo czy japońskiego chłopa? Można by nawet mocno się zastanawiać, czy ich właściciele należeli do tego samego gatunku.

Z czasem można będzie dowiedzieć się więcej. Turekian wątpił jednak, by ten czas był im dany. Doprowadził Webnera do wściekłości, nalegając, by dokończył badania i wrócił na łódź. W końcu szef się poddał.

— Nie żebym nie planował szczegółowego badania, wyobraź sobie — oznajmił. Z pogardą dorzucił: — Przypuszczam jednak, że możemy naradzić się, a ja postaram się uspokoić twoje obawy.

Po pewnym czasie spędzonym na zewnątrz, powietrze w pojeździe cuchnęło, a widok na ekranach wyglądał blado. Turekian wyjął z kieszeni fajkę.

— Nie — oznajmił mu Webner.

— Co? — Pilot był zdumiony.

— Nie chcę wąchać tego paskudztwa w zatłoczonej kabinie.

— Mnie to nie przeszkadza — powiedziała Yukiko.

— A mnie, tak — odparł Webner. — A dopóki jesteśmy na dole, jestem waszym kapitanem.

Turekian poczerwieniał ale spełnił polecenie. Dyscyplina w kosmosie musi być twarda jak stal, to kwestia przetrwania. Dobry przywódca nadaje jej jednak miękką otoczkę. Spojrzenie Yukiko zganiło Webnera; jej palce spoczęły na ramieniu pilota. Ksenolog to zauważył. Usta drgnęły mu parę razy na boki, zanim je zacisnął.

— Mamy kłopoty — zaczął Turekian. — Im szybciej się stąd zabierzemy, tym bardziej zadowoleni będą nasi ubezpieczyciele.

— Nonsens — warknął Webner. — Naszym problemem jest to, że wystraszyliśmy mieszkańców. Mogą potrzebować kilku dni, aby wysłać choć zwiadowcę.

— Wysłali już dwóch. Musiałeś zacząć do nich strzelać.

— Strzelałem do niebezpiecznego zwierzęcia. Nie widziałeś tych szponów, tych kłów? A uderzenie tak dużego skrzydła - pomijając nawet kwestię pazurów - mogłoby skręcić ci kark.

Webner poszukał spojrzeniem Yukiko. Zwracał się głównie do niej:

— Przyznaję, muszą być udomowione. Podejrzewam, że są wykorzystywane do polowań, chwytają zwierzynę jak jastrzębie, ale pracują w stadach jak gończe psy. Możliwe, że para, którą napotkaliśmy, została na nas nasłana z oddali. Ale to, że te stworzenia same mogły być inteligentne, nie wchodzi w rachubę.

Jej szept był urywany.

— Skąd ta pewność?

Webner rozsiadł się wygodniej w fotelu, zacisnął palce i uspokoił się:

— Zdajesz sobie sprawę z podstawowej zasady. Wszystkie organizmy muszą mieć biologiczny sens w swoich konkretnych środowiskach, albo wyginą. Stworzenia rozumne nie są wyjątkiem - a ponadto wywodzą się one od nierozumnych, które przystosowały się do środowisk, zanim zostały one sztucznie zmodyfikowane.

— Na planetach innych niż typu ziemskiego, mogą one być dosyć dziwaczne jak na nasze standardy, ponieważ rozwinęły się w warunkach różnych od ziemskich. Na planecie zasadniczo podobnej do Ziemi, ewolucja zasadniczo przypomina naszą, ponieważ musi tak być. To prawda, tu i ówdzie występują pewne różnice. Na przykład, kręgowce sześcionożne uwalniają kończyny przednie, aby przekształciły się w ręce, i

stają się centauroidami, jak na Wodenie. To dlatego, że ich przodkowie-strunowce byli sześcionodzy. Na tej planecie możecie sami zobaczyć, że wyższe zwierzęta mają cztery kończyny.

— Mózg zdolny do zaprojektowania artefaktów takich jak te, które tu obserwujemy, jest bezużyteczny bez odpowiednika rąk. Natura nigdy by go nie stworzyła. Dlatego mieszkańcy muszą być dwunożni, jakkolwiek pewnie różnią się od nas w szczegółach. Stopa, która musiałaby podwajać się jako ręka i odwrotnie, byłaby zbyt rażąco nieefektywna w obu funkcjach. Selekcja naturalna szybko wyeliminowałaby wszelkie mutacje w takim kierunku, na długo zanim inteligencja mogłaby się rozwinąć.

— A co te ornitoidy mają podobnego do rąk? — Uśmiechnął się swoim ściągniętym uśmieszkiem.

— Szpony na skrzydłach? — Yukiko spytała nieśmiało.

— Obawiam się, że nie — wtrącił Turekian. — Przyjrzałem się im. Potrafią chwytać, ale nie są stworzone do manipulacji.

— Widzieliście, jak pisklę używa ich, by przywrzeć do rodzica — stwierdził Webner. — Być może przy ich pomocy wspina się też na drzewa. Na Ziemi żyje ptak o podobnych konstrukcjach, hoactzin. Traci je w życiu dorosłym. Tutaj mogą stać się dodatkową bronią dla dojrzałego zwierzęcia.

— Stopy. — Turekian zmarszczył brwi. — Dwa przeciwstawne palce otaczające trzy proste. Mogą służyć jako ręce.

— W takim razie jak to stworzenie poruszałoby się po ziemi? — odparł Webner. — Nie da się wykuć narzędzia w powietrzu, nie mówiąc już o kopaniu rudy i wznoszeniu kamiennych domów.

Machnął palcem.

— Kolejna, bardziej fundamentalna kwestia — kontynuował. — Latające stworzenia mają zbyt ograniczoną masę. To prawda, grawitacja jest tu słabsza niż na Ziemi, ale ciśnienie powietrza jest niższe. Dopuszczalne obciążenie skrzydeł jest więc mniej więcej takie samo. Największe ptaki, jakie kiedykolwiek wzbiły się w ziemskie przestworza, ważyły około piętnastu kilogramów. Tutaj również nic większego nie dałoby rady wzbić się w powietrze. Metabolizm po prostu nie jest w stanie dostarczyć wymaganej energii. Ustaliliśmy na pokładzie statku, na podstawie pozyskanych okazów, że miejscowa biochemia jest zbliżona do naszego typu. Dlatego nie jest możliwe, aby te ornitoidy były większe od maksymalnego sępa. Są duże i potężne. Niemniej jednak ten ich rozmiar to głównie pióra, wydrążone kości - pająkowate, podobne do stosowanych w latawcach szkielety, dostarczające zakotwiczenia dla cienkiego ciała.

— Aram, podniosłeś dziś parę przedmiotów, takich jak kamienny garnek. Albo jedno z wiader, prawdopodobnie używane do przynoszenia wody z rzeki. Jaka była jego maksymalna waga?

Turekian podrapał się po brodzie.

— Może ze dwadzieścia kilogramów — odpowiedział niechętnie.

— No i proszę! Żadne stworzenie latające nie byłby w stanie tego unieść. Te bzdury o orłach kradnących jagnięta lub niemowlęta, zawsze były przesądem. One nie były w stanie tego zrobić. Ornitoidy są podobnie upośledzone. Kto by robił naczynia, których nie dałby rady unieść?

— M-m-m — Turekian raczej warknął niż mruknął.

Webner kontynuował natarcie:

— Masa każdego latającego stworzenia na ziemiopodobnej planecie jest niewystarczająca, by pomieścić wystarczająco duży mózg dla prawdziwej inteligencji. Funkcje czysto zwierzęce wymagają wykorzystania praktycznie wszystkich komórek nerwowych. Ptaki przynajmniej zmniejszyły swój ciężar, pozwalając sobie na odrobinę większe mózgi, zmieniając szczęki na dzioby. Podobnie ornitoidy, które nazwałeś „sokołami stróżującymi". Te duże ptaki tego nie zrobiły.

Zawahał się.

— Tak właściwie — powoli stwierdził — to wątpię, czy można je w ogóle uznać za jakieś bystre zwierzęta. Prawdopodobnie są głupie i okrutne. Jeśli znów na nas napadną, nie powinniśmy mieć skrupułów, by je zabić.

— Zamierzałeś to zrobić? — wyszeptała Yukiko. — Czy on, ona, ono, nie miało zamiaru tylko zejść niżej, aby szybko przyjrzeć ci się z bliska - nieuzbrojone, w geście pokoju?

— Gdyby było inteligentnie, to tak — odparł Webner. — Skoro nie jest, co przed chwilą wykazałem, to zdecydowanie nie. Oszczędziłem nam kilku paskudnych ran. Być może uratowałem życie.

— Mieszkańcy mogą się sprzeciwić, jeśli będziemy strzelać do ich własności — zauważył Turekian.

— Wystarczy, że odwołają swoje psy. W gruncie rzeczy atak na nas mógł nie być przeprowadzony na rozkaz, mógł być brutalną reakcją po tym, jak panika złamała porządek stada. — Webner wstał. — Jesteście zadowoleni? Przeprowadzimy dokładne badania do zmroku, a potem zostawimy podarki, wycofamy się, licząc na lepsze przyjęcie, kiedy zobaczymy, że tubylcy wrócili. — Kamery telewizyjne były czymś zwyczajnym pośród tego rodzaju dyplomatycznych podarków.

Turekian pokręcił głową.

— Przypuszczam, że to co mówisz, jest całkiem logiczne. Ale to jakoś nie pachnie mi dobrze.

Webner ruszył w stronę śluzy.

— Ja też mogę? — poprosiła Yukiko. — Proszę?

— Nie — powiedział Turekian. — Nie chciałbym, żeby coś ci się stało.

— Nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo — odparła. — Nasza broń boczna poradzi sobie z wszelkimi latającymi stworzeniami, jakie mogą się pojawić. Jeśli rozstawimy dokoła czujniki, żaden wędrujący po ziemi tubylec nie podejdzie na zasięg strzału z łuku, żebyśmy się nie zorientowali. Czuję się tu jak w klatce. — Uśmiechnęła się do Webnera.

Ksenolog westchnął.

— Dlaczego by nie? — stwierdził. — Przyda mi się nieco bardziej zrównoważony asystent. — Do Turekiana zaś: — Jeśli chcesz, ty zajmij się obsługą działka.

— Jak cholera — mruknął pilot i ruszył za nimi.

Musiał przyznać, że dowódca znał się na swojej robocie. Wcześniejsze pobieżne przeszukanie zmieniło się w mądre, skuteczne badanie obiektu po obiekcie, mierzenie, fotografowanie, z ciągłym komentarzem do minirejestratora. Yukiko pomagała w tym wszystkim. W Misji każdy musi mieć jakąś wiedzę na temat specjalizacji innych. Ale Webner potrzebował tylko jednej dodatkowej osoby.

— Co ja mogę zrobić? — spytał Turekian.

— Od czasu do czasu przenieść coś cięższego — rzucił drugi z mężczyzn. — Pilnować lasu. Nie wchodzić mi w drogę.

Yukiko była zbyt zafascynowana pracą, aby go skarcić za ten komentarz. Turekian zabulgotał w gardle, nabił fajkę i krążył samotnie po terenie, buchając chmurami wściekłości.

Koło zagrody chwycił się poręczy i popatrzył do środka.

— Chcecie coś do jedzenia — zdecydował, wszedł do stodoły - w przeciwieństwie do domu, jej drzwi nie były zabezpieczone - i znalazł coś w rodzaju siana oraz widły, które pomimo najróżniejszych dziwnych szczegółów przypominały mu kolonię w głębi lasów na Hermesie, którą kiedyś odwiedził, na razie prymitywną, ponieważ przestrzeń transportowa była zajęta przez rzeczy pilniejsze niż nowoczesne agromaszyny. Farmer miał córkę... Pocieszył się wspomnieniami, wyciągając garść pachnącego cynamonem czerwonego ziela.

— Hej, wy!

Webner wychylił się z okna na piętrze.

— O co chodzi? — zawołał.

— Te stworzenia są głodne — odparł Turekian. — Posłuchaj tylko.

— Skąd wiesz, jakie są ich wymagania? Albo ich właścicieli? Nie jesteśmy tu po to, aby bawić się w Boga. Jesteśmy tu, żeby się uczyć i być może pomóc. Zabierz te rzeczy tam, skąd je wziąłeś.

Turekian przełknął wściekłość - jako że Yukiko powinna słyszeć jego upokorzenie - i zastosował się do polecenia. Webner był jego kapitanem, dopóki nie wrócą w błogosławione niebo.

Niebo... ptaki... Przyjrzał się „gołębnikom". Niby-jastrzębie latały wokół nich, oburzone, ale zbyt małe, by się z nim mierzyć. Czy gigantyczne ornitoidy były trzymane częściowo jako ochrona przed dużymi drapieżnikami naziemnymi? Turekian przyjrzał się stadu w zagrodzie. Zwierzęta drzemały, spacerowały, drapały ziemię, grube i spokojne, najwyraźniej od dawna hodowane i oswojone. Obu rodzajom brakowało skrzelopodobnych szczelin, które zauważył…

Cień. Turekian spojrzał w górę i sięgnął po powiększacz. Wróciło pół tuzina olbrzymów. Słońce płonęło im na piórach. Byli za wysoko, by mógł dostrzec szczegóły.

Przełączył sterowanie na swojej jednostce grawitacyjnej i podleciał w stronę domu. Webner i Yukiko byli na piątym piętrze. Turekian wleciał przez okno. Nie zwracał obecnie uwagi na spartańską gracje pomieszczenia.

— Przylecieli — wydyszał. — Lepiej szybko wracajmy do łodzi.

Webner wyszedł na balkon.

— Nie ma potrzeby — powiedział. — Nie sądzę, żeby zaatakowali. Jeśli zaatakują, tutaj będziemy bezpieczniejsi niż na podwórku.

— Może rozsądnie byłoby zamknąć okiennice — zauważyła dziewczyna.

— I drzwi do tej komory — zgodził się Webner. — To ich powstrzyma. Wkrótce stracą cierpliwość i odlecą - jeśli w ogóle spróbują cokolwiek zrobić. A jeśli zaczną nas oblegać, możemy się przez nich przebić, a w najgorszym razie wezwać pomoc przez łódź, gdy *Olga* znów znajdzie się nad horyzontem.

Wrócił do środka. Turekian zajął miejsce na balkonie i zmrużył oczy. Kolejne skrzydlate kształty dołączyły do pierwszych kilku, a z każdą sekundą pojawiało się ich więcej. Nurkowały, szybowały, krążyły na wietrze, który wydawał w lesie szumiące odgłosy.

Niepokój przebiegł wzdłuż kręgosłupa pilota.

— Nie podoba mi się to, ani trochę — stwierdził. — Nie zachowują się jak zwykłe zwierzęta.

— Możliwe, że mieszkańcy planują użyć ich w czasie ataku — zauważył Webner. — Jeśli tak, to być może będziemy musieli nauczyć ich, jaka jest cena nieuzasadnionej wrogości. — Ton jego głosu był mniej chłodny niż słowa, a po twarzy spływały mu krople potu.

Iskry w polu powiększacza zraniły oczy Turekiana.

— Przysiągłbym, że mają przy sobie metalowe przedmioty — powiedział. — Jeśli są inteligentni i chcą nas dopaść, po tym jak prawie zabiłeś jednego z nich, to dom nie jest dla nas bezpiecznym miejscem. Zbierajmy się. Możemy nie mieć zbyt wielu minut czasu.

— Tak, myślę, że lepiej będzie wycofać się, Vaughn — ponagliła Yukiko. — Nie możemy ryzykować, że będziemy zmuszeni spalić istoty rozumne, na ich własnej ziemi.

Być może za Webnera przemówiła jego irytacja na pilota:

— Jak często muszę wam tłumaczyć, że nie ma takiego ryzyka? Zamiast tego mamy szansę aby się czegoś nauczyć. To, co stanie się później, może dać nam bezcenne wskazówki do zrozumienia całego tutejszego etosu. Zostajemy. — Do Turekiana: — Zapomnij o tym rzekomym metalu. Przypuszczam, że mogą to być jakieś ochronne obroże. Ale zdejmij doładowanie ze swojej wyobraźni.

Drugi z mężczyzn zamarł w miejscu.

— Aram. — Yukiko chwyciła go za ramię. Wpatrywał się w nią niewidzącym spojrzeniem. — Co się stało?

Otrząsnął się.

— Doładowanie — wymamrotał. — Na Boga, tak.

Nagle krzyknął:

— Wynosimy się stąd! W tej sekundzie! To są mieszkańcy i zebrali przeciwko nam całą okolicę!

— Trzymaj język za zębami — warknął Webner — albo oskarżę cię o niesubordynację.

W piersi Turekiana zahuczał śmiech.

— Aha. To bunt!

Przykucnął i rzucił się do ataku. Jego pięść wystrzeliła do przodu. Krzyk Yukiko dołączył do plaśnięcia uderzenia - nie w podbródek, który byłby

zbyt ryzykownym miejscem, lecz w splot słoneczny. Webner wyrzucił z siebie powietrze. Jego oczy zaszkliły się. Przewrócił się, częściowo przytomny, ale niezdolny by powstać, gdy jego przepona skręcała się w dzikim spazmie. Turekian złapał go w ramiona.

— Do łodzi! — krzyknął pilot. — Pośpiesz się, dziewczyno!

Jego jednostka grawitacyjna nie była w stanie udźwignąć dwóch osób, po prostu złagodziła upadek, gdy skoczył z balkonu. Nie odważył się zatrzymać, aby wyregulować sterowanie gravem Webnera. Niosąc swojego dowódcę, puścił się biegiem po bruku podwórza. Yukiko dobiegła jako pierwsza.

— Do łodzi! — krzyknął Turekian. — Chowaj się w środku, na miłość boską!

— Nie, dopóki ty nie będziesz mógł — odpowiedziała. — Będę cię osłaniać. — Nie był w stanie jej powstrzymać.

Dziesiątki przybyszy w górze uformowały się w ogromne, wirujące koło. Złamało się. Pierwsi z napastników oderwali się od niego i błyskawicznie runęli w dół. Reszta poleciała za nimi.

Strzały świstały przed nimi. Zabrzmiała trąbka. Turekian zrobił unik, zygzakując przez łąkę. Broń Yukiko klasnęła. Strzelała żeby chybić, ale rozbłyski sprawiły, że łucznicy - a teraz także włócznicy – nie mogli dobrze celować. Strzały świstały złośliwe dokoła. Jedna z nich otarła się o szyję Webnera. Wrzasnął.

Yukiko rzuciła się, aby otworzyć śluzę łodzi. Podczas gdy to robiła, Turekian upuścił Webnera i usiadł na nim z wyciągniętym blasterem. Czołowy ornitoid był już blisko. W szponach prawej stopy, która nie była stopą, lecz dłonią, trzymał zakrzywiony miecz podobny do scimitara. Przez chwilę Turekian spoglądał prosto w złote oczy, poznał dzielnego samca broniącego swojego domu i również strzelił tak, aby chybić.

Z łopotem powietrza tubylec uchylił się. Właz otworzył się szeroko. Yukiko przeleciała przez niego. Turekian pociągnął za sobą Webnera, po czym stanął w komorze śluzy, dopóki wejście nie zamknęło się.

Pociski brzęknęły o kadłub. Żaden nie przebił się przez poszycie. Turekian przez ułamek sekundy spoglądał na Webnera, po czym ruszył do Yukiko i śmignął statkiem w powietrze.

Kiedy choć trochę wiadomo, czego się spodziewać, możliwe jest planowanie. Po tych wydarzeniach poszukaliśmy ludu Ythri, jak ta planeta nazywana jest przez jej najbardziej zaawansowaną cywilizację, tysiąc kilometrów od miejsca triumfu, który z pewnością zapanował w górach. Podeszli do nas z cierpliwością, ostrożnością i symboliką odpowiednią dla ich psychiki, witając nas z zachwytem. Zanim odlecieliśmy, po kilku dostatecznie silnych sugestiach, myśleli już o wymianie handlowej, tak że jestem pewien, iż za kilka pokoleń będą mieli własne statki kosmiczne.

Mimo to, są oni tak samo fundamentalnie terytorialni, jak człowiek jest seksualny i lepiej mieć to na uwadze.

Powody leżą w ich ewolucji. Podobnie związane to jest z popędami u wszystkich zwierząt na każdej planecie. Ythrianie są mięsożerni, poza

rozmaitymi słodkimi owocami. Mięsożercy potrzebują do utrzymania większych terenów na osobnika niż roślinożercy lub wszystkożercy, pomimo faktu, że mięso daje więcej kalorii na kilogram, niż większość warzyw. Weźmy pod uwagę, że każda antylopa potrzebuje pewnej ilości miejsca, i ile antylop jest potrzebnych do utrzymania stada lwów. Ksenolodzy napisali tysiące artykułów na temat korelacji między rodzajem diety a genotypową osobowością u istot rozumnych.

Mam wątpliwości co do wartości tych prac. Przynajmniej przeoczono w nich możliwość istnienia rasy takiej jak Ythrianie, której skrajny terytorializm i indywidualizm - wraz z jego konsekwencjami dla formy rządów, obyczajów, sztuki, wiary i duszy - wynikają z ekstremalnej żądzy pożywienia dla ciała.

Ich masa sięga nawet trzydziestu kilogramów, a mimo to potrafią unieść w powietrze taki sam ciężar lub, nieobciążeni, latać niczym demony. Dlatego też rozwijają cywilizację bez konieczności gromadzenia się w miastach. Ich mieszkańcy to głównie przestępcy i niewolnicy. Dzisiaj co mądrzejsi z nich mają nadzieję, że roboty zlikwidują potrzebę ich istnienia.

Ręce? Oryginalne szpony, zmodyfikowane tak by można było nimi manipulować. Stopy? Pazury na skrzydłach, cecha z czasów młodości gatunku, która przetrwała i rozwinęła się, tak samo jak duża głowa i rzadkie owłosienie u człowieka pochodzą z czasów małpiej młodości. Końcowa część szkieletu skrzydła składa się z kości ramieniowej, promieniowej i łokciowej, podobnie jak u prawdziwych ptaków. Blokują się one razem podczas lotu. Na ziemi, gdy skrzydło jest złożone do dołu, tworzą one staw „kolanowy”. Z ich podstawy wyrastają kolejne kości, tworząc szponiastą stopę. Aby wzbić się w powietrze, Ythrianie podczas początkowego wybicia się w górę zwykle stają na rękach. Trwa to mniej niż sekundę.

O tak, są powolni i niezgrabni. Ale są w stanie sobie poradzić. Duzi i uzbrojeni, natychmiast gotowi wzlecieć na wietrze, nie muszą obawiać się żadnej drapieżnej bestii.

Zastanawiacie się, skąd biorą siłę, by poderwać tak potężne ciało do góry i szybować w przestworzach. Z utleniania żywności, a z czegóż by innego? Stąd zapotrzebowanie każdego gospodarstwa domowego na ogromną posiadłość myśliwską lub hodowlaną. Najważniejszym czynnikiem ograniczającym jest tutaj podaż tlenu. Istnieją cząsteczki we krwi, które mogą przenosić więcej tlenu niż hemoglobina, ale gaz musi zostać dostarczony z zewnątrz. Turekian jako pierwszy zdał sobie sprawę, w jaki sposób się to odbywa. Ythrianin ma płuca, pasywny system przypominający nasz. Oprócz tego ma swoiste superdoładowanie, które wyewoluowało ze skrzeli płazopodobnego przodka. Te narządy pobierające powietrze, połączone bezpośrednio z krwiobiegiem za pomocą miechów wykorzystywanych w czasie lotu mięśni, pozwalają mu spalać paliwo tak szybko, jak to konieczne.

Zastanawiam się, jakie to uczucie być tak pełnym życia.

Pamiętam, jak Yukiko Sachansky stała w objęciach ramion Arama Turekiana, pod świtającym niebem, spoglądała na pożegnalny taniec, który Ythrianie wykonywali dla nas, i krzyczała przez łzy:

— Latać tak jak oni! Latać tak jak oni!

KONIEC

Wprowadzenie do „Problemu bólu”

Zdarzyło się to we wczesnym okresie lotów międzygwiezdnych. Opowieść ta znajduje się w „Dalekich przygodach” autorstwa Maeve Downey, autobiografii tej znanej planetolog. Poza raportami naukowymi, które sporządziła ta sama ekspedycja, wydaje się, że jest to pierwsza zewnętrzna relacja na nasz temat.

Dobrze wiecie, jakie wichry wzburzyło Odkrycie wśród tych ludzi, którzy byli w stanie zrozumieć, co ono oznacza, tak że przez długi czas wszyscy Ythri nie byli w stanie w pełnym zrozumieniu, rozmawiać z przodkami poprzez książki, pieśni i sztukę. Kontakty z Terranami, którzy powrócili, najpierw w celach naukowych, a później handlowych; poszukiwania i konflikty, które z wolna doprowadziły nas do pozyskania naszej własnej nowoczesnej wiedzy technicznej; pasja do historii widzianej jako ciąg wielu kolejnych żywotów: wszystko to jest opisane w wielu pismach. Rzeczą, która jest mniej znana niż powinna, to kwestia, jak w tym czasie radzili sobie Terranie.

Ich Wspólnota powstała z wielu narodów. Kilka kolejnych powstało i dołączyło do niej później. Wyjaśnienie pojęcia „narodu” jest zagadnieniem mocno pod wiatr. Lecz dla naszych celów możemy powiedzieć - Na ściśle określonej ziemi mieszka duża liczba ludzi, którzy w subtelnym sensie, wykraczającym poza tylko własność prywatną lub współdzielone terytorium, identyfikują swoje dusze z tą ziemią i ze sobą nawzajem. Prawo i wzajemne zobowiązania utrzymywane są w mniejszym stopniu przez zwyczaje i dumę, a bardziej przez przemoc fizyczną lub groźbę jej użycia, ze strony instytucji zwanej rządem. To tak, jakby pojedyncza grupa mogła na stałe wykrzyczeć „Oherran” przeciwko całej reszcie społeczeństwa, sprowadzać śmierć i zniszczenie, tam gdzie tylko zechce, i rościć sobie do tego wyłączne prawo. Przyjmuje się, że posłuszeństwo i pomoc określane są jako honorowe, a opór jako niehonorowy, zwłaszcza gdy jeden naród jest w stanie wojny z innym - ponieważ każdy z tych podmiotów dysponuje siła, która nie jest ograniczana przez sprawiedliwość, przyzwoitość czy roztropność, a jedynie przez własną potęgę.

Dobrze wiecie, że większość ludzi na Avalonie nadal utrzymuje zmodyfikowaną formę rządu. Ma ona jednak bardzo ograniczoną siłę, zarówno w praktyce, jak i w stanowionym prawie. To jest po prostu ich rozwiązanie. Nie można zrozumieć współczesnego Imperium Terrańskiego, nie wiedząc, czym naprawdę jest naród.

Aby ograniczyć te nadmierne prerogatywy nielicznych, których kłótnie i złe rządy groziły zniszczeniem ich rodzimej planety, w końcu utworzono Wspólnotę Narodów, jako naród narodów. Nie stało się to szybko, łatwo ani racjonalnie. Historia jego powstania jest długa i straszna. Niemniej jednak tak się stało i przez pewien czas Wspólnota miała na ogół

pożądany wpływ. Pod jej ochroną zarówno dobrobyt, jak i wolność od żądań innych, rozkwitały coraz bardziej.

W międzyczasie rozpoczęła się eksploracja tej części galaktyki. Zaczęto zasiedlać nadające się do zamieszkania przez ludzi planety, które nie posiadały własnego inteligentnego życia. Nasz gatunek, w powolny jak na młodą rasę sposób, zaczął opuszczać swoje gniazdo, początkowo zwykle w jednym stadzie z Terranami.

Ta sama ekspedycja, która dokonała odkrycia Ythri, natknęła się na Avalon. Avalon był bogatym światem, wiele oferującym kolonistom, lecz w tamtym czasie znajdował się zbyt daleko od Sol i pozostał bezimienny. W końcu nadszedł czas, by zdobyć prawdziwą wiedzę na jego temat. Ponieważ Ythrianie również w tym maczali swoje skrzydła, wydarzył się pewien incydent, o którym warto tutaj opowiedzieć. Rennhi znalazła tę relację, przepisaną z nagrania dokonanego na Terrze, w archiwach Uniwersytetu Fleurvillskiego na planecie Esperance. Pierwotnie była to część prywatnej korespondencji między dwoma ludźmi, zachowana przez spadkobierców odbiorcy, po jego śmierci; odwiedzający historyk uzyskał kopię, ale nigdy jej nie opublikował. Bóg upolował dla siebie wszystkie zainteresowane osoby już tak dawno temu, że żadna duma nie zostanie naruszona przez umieszczenie tej historii tutaj.

Wartość jej leży w ludzkim spojrzeniu na nas, spojrzeniu, które próbowało sięgnąć do naszego ducha, a tym samym, być może, otwiera nam teraz wgląd w nich.

Hloch z Choth Stormgate
„The Earth Book of Stormgate”

Problem bólu
(The Problem of Pain)

The Magazine of Fantasy and Science Fiction, February, 1973

Być może tylko chrześcijanin jest w stanie zrozumieć tę historię. W takim razie ja nie kwalifikuję się do tego. Ale interesuję się religią, jako częścią moich zainteresowań psychologa-amatora, i - choćby ze względu na wspaniałość jej języka, jeśli nie z innych powodów - Biblia jest wśród taśm, które towarzyszą mi wszędzie, gdziekolwiek się udam. To był jeden

z powodów, dla których Peter Berg opowiedział mi o tym, co wydarzyło się kiedyś w jego życiu. Desperacko potrzebował nadać temu wydarzeniu jakiś sens, a żaden ksiądz, z którym rozmawiał, nie był w stanie do końca odpowiedzieć na jego pytania. Istniała szansa, że ktoś z zewnątrz, taki jak ja, dostrzeże to, czego nie potrafił dostrzec człowiek ze ścisłego kręgu wiary.

Innym powodem jego wyboru, była po prostu samotność. Przebywaliśmy na Lucyferze, jako pracownicy korporacji badawczej. Ta planeta otrzymała dobrą nazwę. Nigdy nie będzie prawdziwą kolonią dla istot, których przodkowie ewoluowali wśród czystej zieleni. Ale może być marginalnie zdatna do zamieszkania, a jeśli tak, to jej bogactwa mineralne mogłyby być warte eksploatacji. Nasze zadanie polegało na ustaleniu, czy tak było. Najłagodniej nawet wyglądające środowisko kryje w sobie tysiące śmiertelnie niebezpiecznych pułapek, dopóki człowiek nie nauczy się, na czym polegają te zagrożenia i jak je przezwyciężyć. (Ziemia wcale nie jest tutaj wyjątkiem.) Czasami napotyka się na problemy, których nie da się rozwiązać ekonomicznie albo nawet nie da się tego zrobić w ogóle. Wtedy spisuje się dany obszar lub całą planetę na straty i szuka innych.

Podpisaliśmy kontrakt na trzy standardowe lata pracy na Lucyferze. Wynagrodzenie było sowite, lecz wkrótce zdaliśmy sobie sprawę, że żadne zasilenie konta bankowego nie jest warte jednego dnia, który można byłoby spędzić pod bardziej łaskawym słońcem. Była to wiedza, której starannie unikaliśmy w rozmowach z kolegami z zespołu.

Mniej więcej w połowie pobytu Peter Berg i ja zostaliśmy przydzieleni do przeprowadzenia dogłębnego badania unikalnego cyklu ekologicznego na średnich północnych szerokościach geograficznych planety. Oznaczało to, że musimy osiedlić się na całe tygodnie - które przerodziły się w miesiące - w tym wybranym regionie, z dala od innych, aby zminimalizować możliwe zakłócenia powodowane przez ludzi. Sporadyczne loty zaopatrzeniowe zapewniały nam jedyny prawdziwy kontakt z resztą kolegów; elektronika niestety nie stanowiła odpowiedniego substytutu, zwłaszcza gdy ta piekielnie gwałtowna gwiazda wiecznie ją zakłócała.

W takich okolicznościach poznaje się swojego partnera być może nawet lepiej niż siebie samego. Pete i ja dobrze się dogadywaliśmy. To był wielki, jasnowłosy młodzieniec o piegowatej twarzy, na którym można było polegać i który miał w sobie tyle życzliwości, uprzejmości i godności, że nie musiał się z nimi afiszować. Mówił łagodnie, może odrobinę brakowało mu poczucia humoru. Poza tym, naprawdę polecałbym go jako towarzysza. Ma wiele do opowiedzenia z własnych wędrówek, ale ze szczerym zainteresowaniem wysłucha także twoich wspomnień i przechwałek; jest również oczytany i dobrze gotuje, kiedy nadchodzi jego kolej; gra w szachy na mniej więcej moim poziomie umiejętności.

Wiedziałem już wcześniej, że nie pochodzi z Ziemi, prawdę mówiąc nigdy tam nawet nie był, lecz z Aeneas, układu oddalonego od niej o prawie 200 lat świetlnych, zaś ponad 300 od Lucyfera. I chociaż zdobył wykształcenie na nowym niewielkim uniwersytecie w Nova Roma, tak naprawdę wychował się na odludziu. Poza tym to miasto było tylko odległą stolicą kolonialną. Pozwala to wyjaśnić jego pełne zaangażowanie w wiarę

w Boga, który stał się ciałem i umarł z miłości do człowieka. Nie żebym sobie tutaj szydził. Kiedy odmawiał modlitwy, w nocy i rano, w naszym jednopokojowym miejscu schronienia, ufnie jak dziecko, nie ganiłem go w żaden sposób, ani on nie robił mi w tych sprawach jakichkolwiek wyrzutów. Oczywiście z biegiem tygodni coraz częściej o tym rozmawialiśmy.

W końcu opowiedział mi, co go prześladowało.

Byliśmy przez cały dzień w terenie, przez jeden z długich, długich dni Lucyfera; harowaliśmy jak woły, byliśmy spoceni, wszystko nas swędziało, śmierdzieliśmy i byliśmy brudni, wręcz zataczaliśmy się ze zmęczenia; raz nawet byliśmy o krok od śmierci; i znaleźliśmy korzeń koncentrujący uran, który był kluczem do tego całego dziwactwa wokół nas. Wróciliśmy do bazy, gdy furia dnia zaczęła się wyładowywać w zwykłej wieczornej wichurze; umyliśmy się, zjedliśmy coś, poszliśmy spać mając w uszach syk ciskanego przez burzę pyłu, jako kołysankę. Dziesięć czy dwanaście godzin później, obudziliśmy się i ujrzeliśmy przez vitrylowe panele zimne i krystalicznie jasne gwiazdy, rozpalone zorze polarne, skuty lodem krajobraz i poskręcane z zimna twory, które nazywaliśmy drzewami.

— Aż do świtu nie mamy nic do roboty — zauważyłem — i zasłużyliśmy na to aby trochę poświętować.

Przygotowaliśmy więc suty posiłek, tak wyszukany, jak to tylko było możliwe - śniadanie czy też kolację, jakie to miało znaczenie w tym miejscu? Wypiliśmy trochę wina, a potem mnóstwo brandy, siedząc obok siebie na naszych leżankach i obserwując korowód konstelacji, których na Ziemi ani na Eneaszu nigdy nie widziano na oczy. I gadaliśmy. W końcu zeszło na rozmowę o Bogu.

— …może podsuniesz mi jakiś pomysł — powiedział Pete. W słabym świetle, na jego twarzy widać było, że z czymś się zmaga. Wpatrywał się przed siebie i zaciskał palce.

— M-m, no nie wiem — odparłem ostrożnie. — Szczerze mówiąc, bez urazy, teologiczne zagadki wydają mi się głupie.

Obrzucił mnie bezpośrednim błękitnym wzrokiem. Jego głos brzmiał łagodnie:

— To znaczy, uważasz, że jeśli nie upieramy się przy wierze, żadne paradoksy się nie pojawiają?

— Tak. Szanuję twoją wiarę, Pete, ale ona nie jest moja. A gdybym przypuszczał, że za wszechświatem stoi jakaś duchowa zasada czy coś podobnego — wskazałem gestem na ogromne i straszliwe niebo — to czy w imię rozsądku możemy zamykać, zrozumieć to coś, co go stworzyło, w granicach jakiegoś jednego małego dogmatu?

— Nie. Zgoda. Jak skończone umysły mogłyby pojąć nieskończoność? Widzimy jednak jej części, które zostały nam ujawnione. — Westchnął. — Na długo przed epoką podróży kosmicznych Kościół zdecydował, że Jezus przybył tylko na Ziemię, do ludzkości. Jeśli inne inteligentne rasy potrzebują zbawienia - a w oczywisty sposób, wiele z nich go potrzebuje! - Bóg poczyni dla nich odpowiednie rozwiązania. Z pewnością. Nie oznacza to jednak, że chrześcijaństwo nie jest prawdziwe lub że pewne inne wierzenia nie są fałszywe.

— Jak, powiedzmy, politeizm, wszędzie tam, gdzie się go znajdzie?

— Tak myślę. Poza tym religie ewoluują. Prymitywne wierzenia postrzegają Boga lub bogów jako potęgę; te na wyższym poziomie, jako sprawiedliwość, a na najwyższym jako miłość.

Nagle zamilkł. Widziałem, jak zaciska pięść, aż w końcu chwycił szklankę, opróżnił ją i napełnił ponownie niemal jednym dzikim ruchem.

— Muszę w to wierzyć — wyszeptał.

Odczekałem kilka sekund, w pełnej lodowych trzasków nocnej ciszy Lucyfera, zanim powiedziałem:

— Jakieś doświadczenie sprawiło, że się zastanawiasz?

— Sprawiło, że... jestem zaniepokojony. Będzie ci przeszkadzać, jeśli to opowiem?

— Oczywiście, że nie.

Widziałem, że ma zamiar się otworzyć; może jestem niewierzący, ale wiem, co jest świętością.

— Zdarzyło się to jakieś pięć lat temu. Była to moja pierwsza prawdziwa praca. Towarzyszyła mi… — głos mu się lekko zająknął — …żona, którą wtedy miałem. Byliśmy prosto po szkole i po stażu, świeżo po ślubie. — Starając się zachować dystans: — Naszymi pracodawcami nie byli ludzie. To byli Ythrianie. Słyszałeś kiedyś o nich?

Poszukałem w pamięci. W tym maleńkim zakątku galaktyki, który zaczęliśmy trochę eksplorować, jest strasznie wiele planet, ras, istot.

— Ythrianie, Ythrianie… czekaj. Czy oni latają?

— Tak. I jest to z pewnością jeden z najwspanialszych widoków na świecie. Ci Ythrianie oczywiście nie są aż tak ciężcy jak ludzie; dorosłe osoby ważą około dwudziestu pięciu lub trzydziestu kilogramów… ale rozpiętość ich skrzydeł osiąga sześć metrów, a kiedy szybują z tymi lśniącymi w świetle słońca złotobrązowym blaskiem piórami albo nurkują z grzmotem, trzaskiem i świstem wiatru...

— Chwileczkę — przerwałem mu. — Rozumiem, że Ythri jest planetą ziemiopodobną?

— Mniej więcej. Jest nieco mniejsza i bardziej sucha niż Ziemia, ma trochę rzadszą atmosferę - mniej więcej jak na Eneaszu, od którego nie jest zbyt odległa, jeśli chodzi o rozmiary międzygwiezdnych przestrzeni. Można tam przeżyć bez żadnych specjalnych środków ochronnych. Biochemia jest dosyć podobna do naszej.

— A więc, jak do diabła te stworzenia mogą osiągać takie rozmiary? Obciążenie skrzydeł staje się niemożliwe, kiedy ma się do utleniania tylko tkankę komórkową. Nigdy nie byliby w stanie oderwać się od ziemi.

— Ach tak, ale oni mają też szczeliny zasysające. — Pete uśmiechnął się, choć nie szeroko. — Wyglądają jak trzy skrzela, po obu bokach, poniżej skrzydeł. W rzeczywistości są bardziej podobne do miechów, pompowanych przez mięśnie skrzydeł. Podczas lotu do krwiobiegu wtłaczane są bezpośrednio dodatkowe ilości tlenu. Taki biologiczny system doładowujący.

— No cóż, niech mnie… zostawmy to jak to jest możliwe. — Myślałem z zachwytem nad tym nowym aspektem pomysłowości natury. — Um-m-m…

jeśli zużywają energię w takim tempie, to muszą mieć apetyt, który sprosta ich potrzebom.

— Racja. Są mięsożerni. Wielu z nich wciąż jest myśliwymi. Bardziej rozwinięte społeczeństwa opierają się na hodowli. W obu przypadkach, aby utrzymać jednego Ythrianina, potrzeba wielu mięsnych zwierząt i wielu kilometrów kwadratowych terenu. Rozwinął się więc u nich zażarty instynkt terytorialny. Żyją w małych grupach - pojedynczych rodzinach lub nieco większych siedliskach domowych - atakując, z zamiarem zabicia, każdego nieproszonego przybysza, który nie zastosuje się do rozkazu opuszczenia ich ziemi.

— A mimo to są na tyle cywilizowani, by zatrudniać ludzi do eksploracji kosmosu?

— Tak. Pamiętajmy, że będąc istotami latającymi, nigdy nie musieli gromadzić się w miastach, aby ułatwiać bezpośrednią komunikację. Utrzymują kilka miast, ośrodków wydobywczych i produkcyjnych, ale są one zamieszkane głównie przez niewolników o przyciętych skrzydłach. Cieszę się, że ta instytucja zanika wraz z pozyskiwaniem przez nich nowoczesnych maszyn.

— Dzięki rozwojowi handlu? — zgadłem.

— Tak — odparł Pete. — Kiedy zostali odkryci przez pierwszą Wielką Misję Badawczą, ich najbardziej zaawansowana kultura stała na poziomie technologii epoki żelaza; sprzed rewolucji przemysłowej, ale z wieloma wyrafinowanymi umysłami i subtelnymi ideami filozoficznymi. — Zrobił chwilę przerwy. — To ważne dla mojego pytania - że Ythrianie, przynajmniej choth mówiące językiem Planha, nie są barbarzyńcami i nie byli nimi już od wielu stuleci. Mają swoich odpowiedników Sokratesa, Arystotelesa, Konfucjusza, Galileusza, a także proroków i jasnowidzów.

Po kolejnej chwili ciszy:

— Wcześnie zdali sobie sprawę, co oznacza pojawienie się przybyszów z Ziemi i zaczęli przyciągać kupców oraz nauczycieli. Gdy zdobyli już trochę funduszy, wysyłali obiecujących młodych ludzi na studia poza planetę. Spotkałem paru z nich na moim własnym uniwersytecie i dlatego dostałem ofertę pracy u nich. Mają już kilka statków kosmicznych i rodzime załogi. Ale rozumiesz, ich technicy ciągle stanowią cienką warstewkę i są mocno rozproszeni, a w paru gałęziach wiedzy w ogóle nie mają ekspertów. Zatrudniają więc ludzi.

Następnie opisał typowego Ythrianina: ciepłokrwistą istotę, upierzoną jak orzeł przedni (choć bardziej misternie), z wyjątkiem grzebienia na głowie, a jednak niebędącą ptakiem. Zamiast dziobu, przed dwojgiem wielkich oczu wystaje tępy pysk, pełen kłów. Samica rodzi młode żywe. Chociaż nie karmi ich piersią, mają one usta przystosowane do wysysania soków z mięsa i owoców, dlatego ich mowa nie jest kompletnie odmienna od ludzkiej. To, co wcześniej było nogami, przekształciło się w ramiona z trzema szponiastymi palcami, otoczonymi dwoma kciukami na każdej dłoni. Na lądzie składają w dół swe ogromne skrzydła i za pomocą pazurów na ich załamaniach mogą się poruszać. Ich chód jest powolny i niezręczny, ale w powietrzu… ach!

— Latając, żyją pełniej i szybciej niż my kiedykolwiek — wyszeptał Pete. Jego spojrzenie zatraciło się w migoczących na niebie zorzach. — Muszą: tempo metabolizmu, jaki wtedy u nich funkcjonuje, przestrzeń wokół nich, prędkość, niebo, setki wiatrów, na których mogą się unosić i być przez nie muskane... To właśnie sprawiło, iż pomyślałem, że Ythrianie, a w szczególności jeden z nich, Enherrian, wierzą silniej niż ja mógłbym kiedykolwiek mieć nadzieję. Zobaczyłem, jak on i inni tańczyli, wysoko, wysoko na niebie, szybowali, wzlatywali, z promieniami słonecznymi błyszczącymi im na piórach; spytałem, co robią, i powiedziano mi, że oddają cześć Bogu.

Westchnął.

— Albo to ja tak sobie przetłumaczyłem tę frazę w Planha, słusznie lub nie — kontynuował. — Olga i ja przeszliśmy pełen kurs tego języka, a nasi Ythriańscy przyjaciele z zespołu wszyscy znali Anglic, lecz nikt nie jest w stanie opanować tak obcego języka perfekcyjnie. To niemożliwe. Wiele miliardów lat oddzielnej egzystencji, ewolucji, historii - to i tak cud, że potrafiliśmy myśleć tak podobnie!

— A przecież można nazwać Enherriana religijnym, tak samo jak można by to powiedzieć o mnie, i wcale nie będzie to czymś groteskowo nietrafnym. Reszta z nich była różnorodna, podobnie jak ludzie. Niektórzy byli bardziej pobożni, inni mniej, jeszcze inni byli wręcz zupełnymi agnostykami lub ateistami; dwóch było poganami, przestrzegającymi krwawych rytuałów tak zwanej Starej Wiary. Z drugiej strony, moja Olga — kostki w miejscu, w którym trzymał swój kubek brandy, wyraźnie mu zbielały — próbowała, z mojego powodu, uwierzyć tak jak ja, ale nie potrafiła.

— No cóż. Nowa Wiara interesowała mnie bardziej. Była nowa tylko relatywnie - była przynajmniej w połowie tak stara jak moja. Miałem nadzieję, że będę miał okazję ją studiować, zadawać pytania i porównywać idee. Tak naprawdę nie wiedziałem nic poza tym, że jest monoteistyczna, posiada sakramenty i rozwiniętą teologię, choć nie ma w niej oficjalnego duchowieństwa, utrzymuje wysokie standardy etyczne i moralne dla Ythrian. Nie można oczekiwać, że rasa, która może przeżyć jedynie dzięki zabijaniu zwierząt, ma cykl godowy i instynktownie nie jest w stanie stworzyć czegoś, co uznalibyśmy za prawdziwy naród lub rząd, i tym podobne - nie można oczekiwać, że będzie ona bardzo podobna do chrześcijan. Bóg musiał dać im inne przesłanie. Chciałem dowiedzieć się jakie. Z pewnością moglibyśmy czegoś się z niego nauczyć. — Ponownie zrobił pauzę. — W końcu… to wiara z długą tradycją… i nie skostniała, lecz poszukująca, z długą historią proroków, świętych oraz wierzących… Pomyślałem, że musi ona rozumieć, że Bóg jest miłością. Jaką formę mogłaby przybrać Boża miłość dla Ythrianina?

Pociągnął łyczek swojego drinka. Ja też, zanim ostrożnie zapytałem:

— Eh, dokąd była ta wyprawa?

Pete poruszył się na leżance.

— Do układu oddalonego o około osiemdziesiąt lat świetlnych od Ythri — odpowiedział. — Oryginalny zespół Misji odkrył tam planetę typu ziemskiego. Nie zadali sobie trudu, by nadać jej nazwę. Potencjalni

koloniści i tak wybraliby swoją własną. Mogli to być ludzie lub Ythrianie, a może i jedni, i drudzy - o ile środowisko na to pozwoli.

— Na pierwszy rzut oka planeta - nasza grupa nazwała ją nieoficjalnie Gray, od imienia dawnego kapitana - wyglądała niezwykle obiecująco. Rozmiar pośredni między Ziemią a Ythri, grawitacja powierzchniowa 0,8 ziemskiej; nieco więcej promieniowania słonecznego z nieco bardziej żółtego słońca niż na Ziemi, co sprawia, że jest nieco cieplejsza; nachylenie osiowe, a zatem wahania sezonowe, nieco mniejsze niż na Ziemi; długość roku około trzech czwartych naszego, długość dnia nieco poniżej połowy; jeden mały, blisko położony, jasny księżyc; biochemia podobna do naszej - moglibyśmy jeść większość rodzimych produktów, choć potrzebowalibyśmy importowanych upraw i zwierząt gospodarskich w celu uzupełnienia diety. Wszystko to sprawiało wrażenie niemal idealne.

— Raczej zbyt odległa, by przyciągnąć Ziemian, w tak wczesnym okresie — zauważyłem. — Z twojego opisu wynika, że również Ythrianie nie będą w stanie zasiedlić tego miejsca przez dłuższy czas.

— Oni myślą przyszłościowo — odparł Pete. — Poza tym mają w sobie wiele naukowej ciekawości i ducha przygody, być może nawet więcej niż ludzie. Cudownie było być młodym w tym zespole!

Nie skończył jeszcze trzydziestu lat, ale w jakiś sposób jego żale nie wyglądały zabawnie.

Otrząsnął się.

— Musieliśmy się upewnić — powiedział. — Poza planetologią, ekologią, chemią, oceanografią, meteorologią, milionem tajemnic do rozwikłania dla ich własnego dobra, musieliśmy zbadać śmiertelne pułapki, jakiekolwiek by one nie były.

— Z początku wszystko szło jak uśmiech Maryi w bożonarodzeniowy poranek. Statek kosmiczny nas wysadził - nie można było marnować jego potencjału na bezczynne oczekiwanie na orbicie - i założyliśmy bazę na największym kontynencie. Wkrótce nasza setka rozproszyła się po całym globie, badając to czy tamto. Olga i ja zostaliśmy częścią grupy na południowym wybrzeżu, w miejscu gdzie kipiała życiem wielka zatoka. Silny prąd wypływał stamtąd na wschód, ostatecznie trafiając w archipelag, który odbijał go na północ. Lecąc nad tymi wodami, dostrzegliśmy ogromne, mam na myśli naprawdę ogromne, płaty - nie, pływające wyspy - roślinności, gęsto splecionej, zjadanej przez potworne morskie stworzenia i bez wątpienia dającej życie także wielu gatunkom mniejszych roślin i zwierząt.

— Chcieliśmy przyjrzeć im się z bliska. Jedyny samolot w naszym obozie nie mógł być do tego wykorzystany. Tak czy inaczej, był natychmiast potrzebny do kilkunastu innych zadań. Mieliśmy jednak łodzie i zwodowaliśmy jedną z nich. Naszą załogę stanowili Enherrian, jego żona Whell, ich dorosłe dzieci Rusa i Arrach, moja piękna nowo poślubiona żona Olga i ja. Dotarcie do najbliższych atlantydzkich wodorostów, jak nazwała je Olga, miało nam zająć trzy lub cztery dni Gray. Potem co najmniej tydzień eksploracji, zanim zawrócimy - wakacje, laba, radość.

Odrzucił szklaneczkę i sięgnął po butelkę.

— Wpadliście w kłopoty — podpowiedziałem mu.

— Nie. — Sztywno wygiął usta ku górze. — To one wpadły na nas. Huragan. Nieprzewidziany; niewiele wiedzieliśmy o tej planecie. Biorąc pod uwagę większy napływ energii słonecznej, a zwłaszcza szybką rotację, sztorm był znacznie bardziej gwałtowny niż byłoby to możliwe na Ziemi. Mogliśmy tylko uciekać przed nim i modlić się.

— A przynajmniej ja się modliłem i wyobrażałem sobie, że Enherrian też to robi.

* * *

Wiatr skrzeczał, huczał, wył, uderzał w ciała ludzi jak pięściami i przeszywał je sztyletami zimna. Fale szumiały w pędzonym przez niego powietrzu, czarno-zielone, z białymi jak kły wierzchołkami, niemalże niknąc z widoku, gdy słońce chowało się za chmurami, które chwilami skrywały je kompletnie. Często spomiędzy nich wyrastało nad pokładem, niczym ogromne zamczysko, jakieś prawdziwe monstrum. Łódź prześlizgiwała się, przemykała przez dolinę między grzbietami fal, uderzała w grzywę i znów opadała. Wodny pył, lodowaty, kłujący, o gorzkim smaku na wargach i języku, tworzył mgłę na całej długości łodzi.

— Przeżyjemy, jeśli uda nam się zachować przestrzeń do manewrowania — powiedział Enherrian, kiedy uderzyła w nich pierwsza furia sztormu. — Łódź jest dobrze zbudowana. Kondensatory silnika mają wystarczającą ilość kilowatogodzin. Trzymaj dziób prosto, a przeżyjemy.

Ale znaleźli się teraz we władaniu prądów, w miejscu, w którym potężny prąd, wychodzący z zatoki, spotkał się z najbardziej oddalonymi wyspami, a jego wody kotłowały się, skręcały, cofały, kłębiły, obracały i zmagały ze sobą. Z minuty na minutę fale przybierały na sile. Doprowadziły do tego, że jacht zaczął przechylać się na burtę, a góry wody przetaczały się przez pokład; wstrząsały nim aż po wierzchołki masztów, a kadłub grzmiał jak dzwon.

Pete, Olga i Whell byli w kabinie, próbując odpocząć przed kolejną wachtą. Nie było to już specjalnie możliwe. Ythrianka zacisnęła dłonie i pazury skrzydeł wokół pokrytej siatką ramy koi, na której spała, wisiała i nie odzywała się. W słabym blasku pojedynczego fluoro nad głowami, pośród gęstych, niespokojnych cieni, jej oczy lśniły jak topazy. Zdawały się nie spoglądać na panujący wokół mętlik - na co więc?

Ludzie poprzypinali się linami do dolnej pryczy. Objęli się, pomagając sobie nawzajem w walce ze skokami i wahnięciami, które próbowały rozbić ich o burty. Jej jasne włosy na jego ramieniu były ostatnim jasnym miejscem w jego kosmosie.

— Kocham cię — powtarzała w kółko, wśród potężnych uderzeń i jęków kadłuba. — Cokolwiek się stanie, kocham cię. Pete, dziękuję ci za to, co mi dałeś.

— Ja ciebie też — miał jej właśnie odpowiedzieć.

„O Ty”, pomyślał. „Nie zabierzesz jej, jeszcze nie, prawda? Mnie tak, jeśli taka jest Twoja wola. Ale nie Olgę. Twoje stworzenie byłoby zbyt mroczne.”

W drzwi kabiny uderzyło skrzydło. Ledwo słyszalny przez ryk burzy, ythriański głos - wysoki, świszczący, ale rezonujący z pełni płuc - zawołał:

— Chodźcie na górę!

Whell posłuchała natychmiast, a Bergowie także pozbierali się tak szybko, jak tylko mogli, zakładając kamizelki ratunkowe. Nie zabrali ze sobą żadnych osobistych jednostek grawitacyjnych, więc nie byliby w stanie uratować się, gdyby wypadli za burtę. Wokół nich zapadał zmierzch. Pete widział tylko Rusę i Arrach na rufie, walczących z rumplem. Enherrian stanął przed nimi i wskazał do przodu.

— Spójrzcie — oznajmił kapitan.

Pete, który nie miał błon śluzowych, musiał osłaniać oczy palcami, by spojrzeć przez huraganowy wiatr. Zobaczył głębszą ciemność wyłaniającą się ze ściany bieli; usłyszał huk fal.

— Nie damy rady się wyrwać — powiedział im Enherrian. — Wiatr i prąd - mamy za mało mocy. Prawdopodobnie rozbijemy się. Przygotujcie się.

Olga na chwilę przyłożyła dłoń do ust. Wtuliła się w Pete'a i była w stanie wyszeptać tylko:

— Och, nie.

Potem wyprostowała się, wróciła do kabiny, przytrzymała się najlepiej jak mogła i zaczęła zbierać najważniejsze rzeczy, które tam przechowywała. Stwierdził, że kocha ją jeszcze bardziej, niż myślał.

Ten sam spokój ogarnął również i jego. Nie było czasu na strach. On też miał dużo do zrobienia. Ythrianie mogli wprawdzie przenieść pewien ładunek sprzętu i zapasów, lecz w obecnych warunkach mocno ograniczony. Większość musieli wziąć opatuleni w kurtki ludzie. Przytroczyli co się da, do swoich ciał.

Kiedy powtórnie wyszli z kabiny, łódź znajdowała się już na płyciznach. Enherrian kazał im przejąć ster. Jego żona, syn i córka stanęli dookoła - na rękach, którymi chwycili się relingów z siłą drapieżników - i rozpostarli skrzydła, by dać ludziom choćby minimalną osłonę. Kapitan przylgnął do górnej części kabiny jako obserwator. Wykrzykiwane przez niego komendy docierały do Bergów niewyraźnie, urywane.

— Ostro w prawo! — Strzelające w górę katarakty wody uderzyły w łódź na lewej burcie. Przemknęły obok nich, ginąc w mroku. — Dwa stopnie na prawą burtę - stabilnie!

Kadłub prześlizgnął się między skałami. Przed nami widać było wąską przerwę w czarnej ścianie wyspy. Prowadziła ona do laguny, w bezpieczne miejsce. Fale szalały po obu stronach tego przesmyku i wszędzie indziej.

Przejście przez przesmyk było niemożliwe. Łódź uderzyła w coś, zbijając Olgę z nóg i zrzucając Arrach z jej grzędy. Cała wstecz silnika nie była w stanie wyrwać ich z pułapki. Pokład przechylił się. Fala za falą uderzały przez niego z boku.

Pete znalazł się w wodzie. Złapała go ona, wciągnęła pod powierzchnię, przeciągnęła po ostrym dnie. Pomyślał: „W Twoje ręce, Boże. Oszczędź Olgę, proszę, proszę…” - i morze wyrzuciło go z powrotem na powierzchnię.

Kotłując się na ślepo, próbował ocenić, jak wyglądają chroniące ich ostrogi lądu i co teraz powinien zrobić. Gdyby udało mu się jakoś przepłynąć na brzuchu, może by zdołał się uratować, może jakoś mu się uda… Znalazł się na grzbiecie pędzącej olbrzymiej fali, która rosła i rosła, pchała go do przodu z szaleńczą prędkością. Zobaczył rafę, na której musiał się rozbić i wiedział, że jest już trupem.

Na jego kurtce zacisnęły się szpony. Powietrze kotłowało się pod skrzydłami. Ythrianin nie był w stanie go podnieść, ale mógł odciągnąć go na bok… na niezbędną odległość… i Pete minął skałę, na której miały się roztrzaskać jego kości, i runął w otchłań chaosu. Ythrianin nie zdążył się wyswobodzić. Widział, jak pióra znikają pod wodą, podobnie jak on sam. Nigdy już nie wypłynęły.

Walczył dalej i dalej, bez końca.

Unosił się na ledwie co wzburzonej wodzie, otoczonej palisadami skał po prawej i lewej stronie, ze płaską plażą przed sobą. Spojrzał w pełną zgiełku ciemność i niczego nie dostrzegł.

— Olga — wykrztusił. — Olga. Olga.

Pośród cieni padł na niego cień skrzydeł.

— Wychodź na ląd, zanim wciągnie cię prąd! — krzyknął Enherrian i ruszył na poszukiwania pozostałych.

Pete wyczołgał się na żwirowaty piasek, upadł i pozwolił, by ogarnęła go ciemność. Nie był nieprzytomny zbyt długo. Kiedy się ocknął, koło niego byli Rusa i Whell. Enherriana widać było dalej w głębi lądu. Kapitan ciągnął za linę, którą owinął wokół drzewa. Na jej drugim końcu unosiła się Olga. Nie miała już sił, ale przeciągnął jej linę pod ramionami i żyła.

O wilczym świcie Graya wiatr zelżał do siły wichury, a może nawet zrobił się jeszcze słabszy, zaś skalne klify osłaniały przed nim lagunę i plażę. Świszczał nad głowami, a na zewnątrz skalne ostrogi huczały gromko jak armaty, ich wściekłe drgania rozlewały się po wyspie. Pete i Olga skulili się razem, zarzucając na siebie wspólny płaszcz. Enherrian zajął się sprawdzaniem ocalałego ekwipunku. Whell siedziała na tylnych kościach skrzydeł i wpatrywała się w morze. Wilgoć lśniła na jej nastroszonych piórach niczym łzy.

Rusa nadleciał od strony raf i wylądował.

— Nie ma śladu — oznajmił. Jego głos był pusty z wyczerpania. — Ani łodzi, ani Arrach.

Przez pokłady rdzy we własnym mózgu Pete zauważył kolejność tych słów. Mimo to nachylił się w stronę rodziców i brata Arrach, która była piękna, wesoła i śpiewała im przy świetle księżyca.

— Jak moglibyśmy wyrazić nasz... — zaczął, ale zdał sobie sprawę, że nie zna odpowiednich słów w Planha, spróbował więc w Anglicu: — Jak moglibyśmy wyrazić, nasz smutek i żal?

— Nie ma takiej potrzeby — odpowiedział Rusa.

— Ona zginęła, ratując mnie!

— I to, co miałeś przy sobie, a czego bardzo potrzebowaliśmy. — Rusa odzyskał nieco energii. Podniósł głowę i swój grzebień. — Miała w sobie dumę aż do śmierci, nasza dziewczyna.

Później Pete, w poszukiwaniu sensu tych słów, dowiedział się o tej koncepcji Ythrian. „Odwaga" to zbyt proste i kiepskie ich tłumaczenie. Pewne starojapońskie słowa byłyby bliższe, choć też nie niosą tej samej wartości.

Whell skierowała na niego swe jastrzębie spojrzenie.

— Widziałeś coś z tego, co stało się w wodzie? — spytała.

Był wtedy zbyt słabo obeznany z jej ludem, aby móc zinterpretować ton jej głosu: dzisiaj uważał, że był on pełen miłości. Wiedział, że Ythrianie, jako stworzenia o sezonowym okresie godowym, są słabiej motywowane seksualnie niż ludzie, ale prawdopodobnie jeszcze bardziej cenili swoje młode. Najsilniejszą więź między mężczyzną a kobietą tworzyły ich dzieci, to one były sednem tego, o co chodzi w życiu.

— Nie, ja... Obawiam się, że nie — próbował coś wyjąkać.

Enherrian wyciągnął rękę, by położyć pazury na plecach żony, bardzo delikatnie i na krótko.

— Bądź pewna, że dobrze walczyła — oznajmił. — Oddała Bogu honor. (Chwałę? Uwielbienie? Adorację? To, co mu się należy?)

„Czy chodzi mu o to, że modliła się, wyznała swe grzechy, kiedy tonęła?" To pytanie przebiło się przez zmęczenie Pete'a i sprawiło, że mruknął:

— Ona jest teraz w niebie. — Ponownie został zmuszony do użycia słów Anglicu.

Enherrian rzucił mu spojrzenie, w którym mógłby przysiąc, że widać było zaskoczenie.

— Co ty mówisz? Arrach nie żyje.

— Ale przecież… jej duch…

— Jej duch wspominany będzie z dumą. — Enherrian wrócił do swojej pracy.

Olga powiedziała to za Pete'a:

— Więc nie wierzycie, że duch przeżywa ciało?

— Jak to miałoby być możliwe? — rzucił ostro Enherrian. — Dlaczego miałoby tak być? — Jego ruchy, postawa, ustawienie piór dodawały: Zostawcie mnie w spokoju.

Pete pomyślał: „No cóż, wiele wyznań, w tym najbardziej wyrafinowanych, a nawet pewne sekty, określające siebie jako chrześcijańskie, zaprzeczają nieśmiertelności. Jakże mi żal tych moich przyjaciół, którzy nie wiedzą, że ponownie spotkają swoich najdroższych!"

„Ale tak się stanie. To bez sensu, że Bóg, który stworzył to, co jest, ponieważ w swej dobroci chciał się dzielić istnieniem, ukształtowałby duszę tylko po to, by ją potem zniszczyć i wyrzucić."

„Nieważne. Zadaniem jest utrzymanie Olgi przy życiu, w tym jej ciele."

— Mogę jakoś pomóc?

— Tak, sprawdź nasz zestaw medyczny — powiedział Enherrian.

Przetrwał bez uszkodzeń w swoim pudełku. Rzeczy przeznaczone dla ludzi - stymulanty, środki uspokajające, znieczulające, antytoksyny,

antybiotyki, koagulanty, środki przyśpieszające gojenie ran i inne - naturalnie przewyższały liczebnie te, przeznaczone dla Ythrian. Nie było czasu na opracowanie dużej naukowej farmakopei dla drugiego gatunku. To prawda, niektóre środki działają na oba, podobnie jak sprzęt chirurgiczny i monitorujący. Pete rozdał pigułki, które łagodziły ból po stłuczeniach i otarciach, a także zmniejszały ociężałość mięśni. W międzyczasie Rusa zebrał drewno, Whell rozpaliła i doglądała ogniska, zaś Olga przygotowała śniadanie. Mieli sporo jedzenia, w większości liofilizowanego, wyposażenie do gotowania, narzędzia takie jak noże i siekiera, zwój sznura, ubrania, latarki, dwa blastery i mnóstwo ładunków: wszystko, czego potrzebowali do przetrwania.

— To może nie wystarczyć — stwierdził Enherrian. — Przenośny komunikator radiowy poszedł na dno razem z Arrach. Nadajnik łodzi nie był w stanie przebić się przez zakłócenia burzowe, a teraz łódź leży gdzieś na dnie - z powietrza niczego nie widać, a wykrywacz nie rejestruje większych ilości metalu.

— Sprawdzą co z nami, kiedy pogoda się poprawi — powiedziała Olga. Złapała Pete'a za rękę. Poczuł jej ciepło.

— Jeśli ich flitter przetrwał huragan, w co wątpię — stwierdził Enherrian. — Jestem przekonany, że obóz również ucierpiał. Nie zbudowaliśmy wcześniej schronienia dla flittera, a nasi ludzie pewnie byli zbyt zajęci ratowaniem siebie samych, aby go zabezpieczyć, i myślę, że jego delikatny kadłub został przewrócony i rozbity. Jeśli mam rację, będą musieli wezwać pojazd latający z innego miejsca, który może nie być dostępny od razu. Niezależnie od tego, możemy znajdować się w dowolnym miejscu na ogromnym terytorium, a ekspedycja nie ma czasu ani odpowiedniej liczby ludzi, aby przeprowadzić poszukiwania na tak nieokreślonym obszarze. Będą nas szukać, jasne; jeśli jednak nie zostaniemy odnalezieni przed upływem jakiejś arbitralnie ustalonej daty... — Przez pióra jego twarzy i szyi przeszła fala; człowiek wzruszyłby ramionami.

— Co więc możemy zrobić? — spytała dziewczyna.

— Oczyścić spory obszar, tworząc jakiś wyraźny, sztuczny wzór lub zgromadzić paliwo na ogniska sygnalizacyjne na wypadek, gdyby flitter przelatywał w zasięgu wzroku - w zależności od tego, co jest wykonalne. Jeśli nic z tego nie wyjdzie, powinniśmy rozważyć zbudowanie tratwy lub czegoś podobnego.

— Albo zmodyfikować kamizelkę ratunkową dla mnie — zasugerował Rusa — i mogę spróbować polecieć na stały ląd.

Enherrian skinął głową.

— Musimy zbadać wszystkie te możliwości. Najpierw jednak, odpocznijmy.

Ythrianie szybko zasnęli, przykucnięci na zablokowanych przegubach skrzydeł, niczym jakieś kamienne idole zapomnianego ludu. Pete i Olga czuli większą ekscytację i wyruszyli na niewielką przechadzkę, trzymając się za ręce.

Za otoczoną skałami plażą, teren wznosił się w kierunku górskiego grzbietu, którego wysokość Pete oszacował na trzy kilometry. Jeśli

znajdował się on pośrodku wyspy, to nie był to zbyt duży kawałek lądu. Nie widział też żadnego odpowiedniego schronienia. Mata podobnych do mchu, intensywnie zielonych roślin, niszczyła jakąkolwiek możliwość istnienia tu lasu. Sporadycznie gdzieniegdzie stało kilka samotnych drzew. Ich gałęzie kołysały się na wietrze. Zwrócił szczególną uwagę na jedno z nich, rosnące na szczycie pobliskiej wielkiej skały, o chuderlawym, brązowym pniu i cienkich, pokrytych liśćmi gałęziach, które szaleńczo trzepotały. Kwiaty, zerwane z pnączy, przelatywały obok i były przepiękne; ale nie było tu nic do jedzenia, a on nie miał nadziei, że po pewnym czasie nauczy się łowić odpowiednik ryb z Graya.

— Dziwne, co? — mruknęła Olga.

— Eh? — Ocknął się zaskoczony ze swych rozmyślań.

Gestem ręki wskazała na Ythrian.

— Oni. Sposób, w jaki przyjęli śmierć biednego Arracha.

— No cóż, nie można ich oceniać według naszych standardów. Może odczuwają żal słabiej niż my, a może ich kultura wymaga pewnego stoicyzmu. — Spojrzał na nią i nie odwrócił wzroku. — Szczerze mówiąc, kochanie, ja też nie jestem w stanie przeżywać ich żałoby. Jestem zbyt szczęśliwy, że cię odzyskałem.

— A ja ciebie - och, Pete, Pete, mój jedyny…

Znaleźli ustronne miejsce i kochali się. Nie widział w tym nic złego. Czy kiedykolwiek w tym życiu człowiek bardziej zbliżał się do tego cudu, jakim jest Bóg?

Potem wrócili do swoich towarzyszy. Kilka godzin później obudził ich łopot skrzydeł. Zwlekli się ze swoich posłań i zobaczyli, jak Ythrianie unoszą się w powietrze

Wiatr ciągle był silny i głośny, choć zelżał, zmieniając się w powiewy, prądy i wiry. Chmury w większości zniknęły. Te, które pozostały, mieniły się złotym i ogniście pomarańczowym kolorem, wisząc przed położonym nisko na zachodzie słońcem, wędrującym przez spokojny błękit. Laguna lśniła purpurą, zielenią. Ociepliło się, aż bogate wonności roślin i kwiatów, zmieszały się z zapachem morskiej soli.

A na niebie tańczyli wspaniale Enherrian, Whell i Rusa. Zataczali koła, szybowali, nurkowali i wbijali się z powrotem w światło słońca, które roztapiało się na piórach ich skrzydeł. Śpiewali, a fragmenty ich pieśni docierały na dół, do ludzi:

— Wysoko latał twój duch, na wielu wiatrach… będziesz pamiętana na zawsze…

— Co to jest? — wysapała Olga.

— Przecież, oni… oni… — Na Pete'a spłynęło zrozumienie. — Oni odprawiają nabożeństwo dla Arrach.

Przykląkł i odmówił modlitwę za spokój jej duszy. Zastanawiał się jednak, czy ona, która należała do powietrza, naprawdę pragnie odpoczynku. Jego oczy nie mogły oderwać się od jej pobratymców.

Enherrian wykrzyczał wyzwanie łowcy i pomknął ku ziemi. Śmignął jak meteor obok kamiennego występu, który zauważył wcześniej Pete; przez chwilę człowiek sapnął, sądząc, że rozbije się o niego; potem wzbił się w niebo, triumfalnie.

Przeleciał koło chuderlawego drzewa o cienkich gałęziach. Podmuchy targnęły nimi we wszystkie strony. Ostra niemalże jak brzytwa krawędź jednej z nich, chlasnęła jego lewe skrzydło. Trysnęła krew; krew Ythrian ma kolor królewskiej purpury. Jakimś cudem Enherrian obrócił się i wylądował awaryjnie na szczycie urwiska, tuż poza zasięgiem rośliny, która od tamtej pory nazwana jest drzewem chirurgiem.

Pete chwycił za apteczkę i pobiegł w jego stronę. Olga krzyknęła krótko i podążyła za nim. Kiedy dotarli na miejsce, zobaczyli, że Whell i Rusa wyrywają sobie pióra z piersi, próbując zatamować ranę.

Wieczór, noc, dzień, wieczór, noc.

Enherrian siedział koło ogniska. Blask płomieni falował, to wydobywając go z cienia, to powodując, że na wpół znikał, z wyjątkiem nigdy nie mrugających żółtych oczu. Jego żona i syn wspierali go. Stymulatory, zamrożenie komórek i substytut plazmy zrobiły swoje i mógł już mówić słabym, chrapliwym głosem. Bandaże na kikucie skrzydła były niemal rażąco białe.

Dokoła rosły krzewy, które za dnia zdawały im się niskie i miały rdzawe liście. Wypełniały one zagłębienie po drugiej stronie wyspy, do którego Enherrian został przeniesiony na zaimprowizowanych noszach. Panował tam nieprzyjemny zapach, a powietrze ponownie zrobiło się subtropikalnie gorące. Było to jednak najbardziej osłonięte miejsce, jakie jego towarzyszom udało się znaleźć, bo na otwartej plaży mógł zginąć podczas kolejnego sztormu.

Popatrzył przez dym na Bergów, którzy siedzieli przytuleni tak blisko, jak tylko mogli. Powiedział - szum fal tworzył tylko słabiutkie tło dla jego słów, a żaden liść nawet nie zaszeleścił w dusznej ciemności:

— Czytałem, że wasi rodacy potrafią sprawić, że utracona część ciała odrośnie na nowo.

Pete nie był w stanie odpowiedzieć. Próbował, ale dał rady. To Olga zebrała się na odwagę by wyznać:

— Potrafimy to zrobić dla siebie. I nikogo poza nami.

Położyła głowę na piersi swojego mężczyzny i zapłakała.

No cóż, potrzeba wielu badań, aby odczytać kod genetyczny, wiele się dowiedzieć, aby cząsteczki dziedziczności mogły powtórzyć operacje, które wykonywały w łonie matki. Naukowcy nie mieli jeszcze czasu, aby wykonać tę pracę dla innych ras. Nigdy nie będą mieli tyle dużo czasu, aby zrobić to dla wszystkich. Jest ich zbyt wiele.

— Tak jak myślałem — stwierdził Enherrian. — Za mojego życia nie da się też stworzyć odpowiedniej protezy. Zostało mi już niewiele lat, a Ythrianin, który nie może latać, szybko zapada na rozmaite choroby.

— Jednostki grav… — wtrącił Pete, lecz głos mu zamarł w gardle.

Pogarda w oczach jego rozmówcy smagnęła jak batem. Martwy metal, by unosić kogoś, kto miał skrzydła?

Choć Ythrianie są gwałtowni i dumni, ich niewolnicy nigdy w całej historii się nie zbuntowali, ponieważ są tylko w połowie żywi. Wyobraźcie sobie siebie, człowieka - mężczyznę, wykastrowanego. Enherrian był w

stanie machać drugim skrzydłem i kikutem uszkodzonego, aby wypełnić krew tlenem; ale cóż miałby zrobić z tą dodatkową energią - zwróciłaby się ona do wewnątrz i zniszczyłaby jego ciało, a może nawet umysł.

Na chwilę Whell objęła go ramieniem.

— Jutro opracujecie sygnał — powiedział Enherrian — i zaczniecie nad nim pracować. Zmarnowaliśmy już zbyt wiele czasu.

Zanim zasnęli, Pete zdołał odciągnąć Whell na bok.

— On potrzebuje stałej opieki, wiesz — szepnął do niej w głębokim mroku. — Leki pomogły mu uporać się ze wstrząsem, ale większej dawki już nie wytrzyma i będzie bardzo słaby.

— To prawda — powiedziała raczej piórami niż słowami. Na głos: — Olga będzie go pielęgnować. Nie może poruszać się tak sprawnie jak Rusa czy ja i brakuje jej twojej siły fizycznej. Poza tym może przygotowywać dla nas posiłki i zajmować się tego rodzaju rzeczami.

Pete skinął głową. Z obawą poprosił o wyjaśnienie:

— Eee… eee… czy myślisz – to znaczy, mam na myśli waszą etykę, Nową Wiarę - że Enherrian mógłby sam położyć kres swojemu życiu? — I zastanawiał się przy tym, czy Bóg naprawdę winiłby za to kapitana.

Rozłożyła skrzydła i ogon, wyprostowała grzbiet i popatrzyła na niego gniewnie.

— Tak o nim mówisz? – wrzasnęła ostrym głosem. Widząc jego zmieszanie, złagodniała, a nawet wydała odgłos „krr”, który można by uznać za chichot. — Nie, nie, on ma swoją dumę aż do śmierci. Nigdy nie pozbawiłby Boga honoru.

Po kilku sprawdzeniach i eksperymentach podjęto decyzję o wbiciu w murawę wyspy gigantycznego krzyża. Nie dało się jej podpalić, a drewna, które nadawałoby się do spalenia - martwych opadów - było zbyt mało i dawało za dużo dymu, by można było rozpalić ogień sygnałowy.

Rozbitkowie nie mieli szpadli; darń roślinna była gruba i twarda; wysiłek był straszliwy. Pete, podobnie jak Whell i Rusa, wracał do obozu i zapadał w sen. Budził się dopiero rano, by przełknąć odrobinę jedzenia i ruszyć do pracy. Zrobił się chudy, brodaty, brudny, odrętwiały, bolał go każdy mięsień.

Nie zauważył więc, że Olga słabnie. Enherrian pod jej opieką nieco wydobrzał. Wykonywała swoje obowiązki, które były stosunkowo lekkie, i wstydziła się narzekać na bóle i zawroty głowy, biegunkę oraz mdłości. Bez wątpienia wyobrażała sobie, że cierpi jedynie z powodu reakcji na katastrofę, a do tego dochodzi skromna i źle zbilansowana dieta, upał oraz jaskrawe słońce – myślała, że poradzi sobie z tym sama.

Dni były zbyt krótkie na pracę, a noce zbyt krótkie na sen. Pete'a przerażało to, że zobaczy przelatującego flittera, który zniknie za horyzontem, zanim Ythrianie zdążą go wywołać. Wtedy mogliby jedynie spróbować wysłać po pomoc Rusę. Byłby to jednak długi i trudny lot, a obóz na wybrzeżu zatoki i tak miał zostać wkrótce zwinięty.

Czasami zastanawiał się, jak on i Olga poradziliby sobie, gdyby zostali uwięzieni na Grayu. Zachował jednak na tyle rozsądku, by odrzucić te

fantazje. Choćby fakt, że miejscowe życie wydawało się pozbawione pewnych witamin…

Pewnej nocy, w ciemności, może ziemski tydzień po katastrofie statku, obudził go jej krzyk. Ocknął się. Leżała koło niego. Księżyc Graya był już prawie w pełni, szybszy i jaśniejszy niż ziemska Luna. Jego blask tłumił światło większości gwiazd, oszraniał zarośla, opadał bez litości na ziemię, by pokazać mu jej zapadnięte policzki i podkrążone oczy. Zadrżała w jego ramionach; usłyszał, jak szczęka zębami.

— Zimno mi, kochanie, zimno mi — powiedziała pomimo subtropikalnej letniej nocy. Zwymiotowała na niego i wkrótce zaczęła majaczyć.

Ythrianie pomagali, jak tylko mogli, a on podał jej lekarstwa. O wschodzie słońca (skandalicznie różowo-złoto-srebrno-niebieski, przecinany radosnymi skrzydłami wodnego ptactwa) wiedział, że Olga umiera.

Zbadał również swój stan fizyczny, używając robota, którego jak odkrył miał w swojej czaszce: tak, jego wynędzniały wygląd spowodowana był czymś więcej niż tylko przepracowaniem, teraz to już widział; on też miał rozstrój żołądka i sporadyczne dreszcze, nic podobnego do fali dezintegracji, która zalała Olgę, niemniej jednak był to ten sam rodzaj problemu. Mimo to Ythrianie pozostawali zdrowi. Czyżby jakiś miejscowy zarazek zaatakował ludzi, uznając drugą rasę za odporną?

Ratownicy, którzy przybyli na wyspę dwa dni Graya później, znali już odpowiedź. Ten rodzaj krzewów jest szeroko rozpowszechniony na planecie. Pewna grupa w innym miejscu, po zachorowaniu i ubraniu się w kombinezony ochronne, przeanalizowała jego opary. Stanowią one stopniowo kumulującą się truciznę dla człowieka, ale Ythrianom prawie nie szkodzą. Analitycy nazwali go piekielnym krzewem.

Niestety, ich raport został przesłany dopiero po wypłynięciu łodzi. W międzyczasie Pete codziennie wychodził świeże powietrze, podczas gdy Olga spędzała cały czas w zagłębieniu, nad którym słońce regularnie tworzyło warstwę inwersyjną.

Whell i Rusa wrócili ponuro do pracy. Pete musiał przed tym wszystkim uciec. Nie był pewien powodu, ale musiał być sam, kiedy krzyczał w niebo:

— Dlaczego jej to zrobiłeś, dlaczego to zrobiłeś?

Enherrian mógł zająć się Olgą, która przywróciła go do życia, życia którego już nie chciał. Pete zastrzykiem powstrzymał jej majaczenia, wicie się i rzężące odgłosy bólu. Powinna spokojnie spać, czekając na śmierć, która, jak twierdziły przyrządy monitorujące, była nieuchronna z braku możliwości leczenia szpitalnego.

Potykając się, wspiął się na wyższe partie wyspy. Morze było spokojne, mieniąc się tysiącami odcieni lazuru i zieleni, wokół żywej wyspy, pod łagodnym niebem. Uklęknął w tej pustce i zadał pytanie.

Po godzinie mógł już powiedzieć: „Bądź wola Twoja” i wrócić do obozu.

Olga nie spała.

— Pete, Pete! — zawołała.

Udręka zniekształciła jej głos tak bardzo, że nie był w stanie go rozpoznać; nie potrafił też tak naprawdę zobaczyć jej, w szkielecie

obciągniętym pożółkłą, spoconą skórą z rzadkimi włosami, ani odnaleźć jej w otaczającym ich smrodzie oraz ściskających go paznokciach.

— Gdzie byłeś, przytul mnie, to boli, jak boli…

Dał jej drugi zastrzyk, z niewielkim skutkiem.

Ponownie ukląkł obok niej. Nie powiedział mi, co jej mówił ani jak. W końcu ucichła, złapała go mocno i czekała, aż ból się skończy.

Mówił, że kiedy umarła, było to jak zgaszenie światła.

Położył ją, zamknął powieki i szczękę, złożył jej ręce. Mechanicznie udał się do namiotu, który został wcześniej przygotowany dla Enherriana. Kaleka spokojnie na niego czekał.

— Czy ona spadła? — zapytał.

Pete skinął głową.

— To dobrze — powiedział Enherrian.

— Wcale nie — Pete usłyszał swoją odpowiedź, wygłoszoną szorstkim i dalekim głosem. — Nie powinna była się obudzić. Czy dałeś jej zastrzyk stymulujący? Przywróciłeś ją by cierpiała?

— Co jeszcze? — powiedział Enherrian, choć był nieuzbrojony, a blaster leżał na tyle blisko by Pete mógł go pochwycić. „Nie, żebym chciał mu ulżyć w jego losie!” przemknęło przez głowę człowiekowi w gwałtownym spazmie. — Zobaczyłem, że zrozpaczony pomyliłeś dawkę. Zniknąłeś, a ja nie mogłem za tobą podążyć. Mogła umrzeć przed twoim powrotem.

Z głębi swej pustki Pete wpatrywał się w te oczy.

— Chciałeś powiedzieć… — wydusił z siebie, — chciałeś powiedzieć… że ona… nie musiała?

Enherrian podczołgał się - na jednym skrzydle mógł się tylko czołgać - i chwycił Pete'a za ręce.

— Mój przyjacielu — powiedział z niezmiernym współczuciem w głosie — za bardzo was oboje szanowałem, aby odmawiać jej prawa do dumy aż do śmierci.

Pete dostrzegał przede wszystkim te chłodne, ostre szpony.

— Czy coś źle zrozumiałem? — spytał z niepokojem Enherrian. — Czy nie chciałeś, aby ona wydała Bogu bitwę?

* * *

Nawet na Lucyferze noce w końcu się kończą. Świt rozbłysnął nad skałami, gdy Pete skończył swoją opowieść.

Opróżniłem ostatnie kilka łyków z butelki do naszych szklaneczek. Nie pójdziemy dziś do żadnej pracy.

— Taa — powiedziałem. — Semantyka międzykulturowa. Biorąc pod uwagę nawet najlepszą wolę na świecie, dwie istoty z różnych planet - lub po prostu z różnych krajów, często - przyjmują za pewnik, że myślą podobnie; a wynik może być tragiczny.

— Od początku też tak myślałem — odparł Pete. — Nie musiałem wybaczać Enherrianowi, bo skąd miałby wiedzieć, że źle robi? Ze swojej strony, on również był bardzo zdziwiony, kiedy pogrzebałem moją ukochaną w ziemi. Na Ythri zrzucają ich z dużej wysokości nad dzikimi

terenami. Ale żadna z ras nie chce patrzeć na rozkład tego, co kochała, więc zrobił, co mógł, żeby mi pomóc.

Napił się, popatrzył w jakieś miejsce tak blisko okrutnego niebieskawego słońca, jak tylko był w stanie, i wymamrotał:

— To, czego nie byłem w stanie zrobić, to wybaczyć Bogu.

— Problem zła — poczyniłem uwagę.

— Och, nie. Studiowałem te sprawy przez ostatnich parę lat: czytałem dużo teologicznych rozpraw, dyskutowałem z księżmi, tego rodzaju rzeczy. Dlaczego Bóg, jeśli jest kochającym i osobistym Bogiem, dopuszcza istnienie zła? No cóż, istnieje na to pewna absolutnie dobra, chrześcijańska odpowiedź. Człowiek - lub ogólnie istota inteligentna - musi mieć wolną wolę. W przeciwnym razie bylibyśmy tylko marionetkami i nie mielibyśmy powodu do istnienia. Wolna wola, jako warunek konieczny, obejmuje możliwość czynienia zła. Jesteśmy tutaj, w tym kosmosie, podczas naszego życia, aby nauczyć się, jak być dobrymi z naszego własnego, przez nikogo niewymuszanego wyboru.

— Wyraziłem się jak nieuk — przeprosiłem. — To przez tę brandy. Nie, jasne, logika twojego wywodu jest słuszna, niezależnie od tego, czy akceptuję stojące za nią przesłanki, czy nie. Chodziło mi o problem bólu. Dlaczego miłosierny Bóg pozwala na niezasłużone męki? Jeśli jest wszechmocny, nikt go do tego nie zmusza.

Doprecyzowałem.

— Nie mówię o odczuciu bólu, które ostrzega cię, abyś wyciągnął rękę z ognia, lub o czymś podobnie użytecznym. Nie, chodzi mi o przypadkowy wypadek, który niszczy czyjeś życie… lub umysł… — Wypiłem łyczek. — Coś, co przydarzyło się Arrachowi, Enherrianowi, Oldze, tobie i Whell. Co się dzieje, gdy dopada nas choroba lub jakieś katastrofy, które nazywamy wolą Boską. Albo powolny rozkład nas samych, kiedy mocno się zestarzejemy. Każda taka potworność. Nieważne, że nauka umożliwiła nam pozbycie się części z nich; zostało ich wystarczająco wiele, a przecież nasi przodkowie, musieli przecierpieć je wszystkie.

Zrobiłem chwilę przerwy.

— Dlaczego? Jaki jest możliwy cel tego rodzaju rzeczy? Nie jest tu adekwatnym stwierdzenie, że po śmierci otrzymamy jakąś nieograniczoną nagrodę, a zatem nie ma znaczenia, czy życie było emocjonujące, czy ponure. To nie jest wyjaśnienie.

Spytałem go:

— Czy to jest problem, z którym się zmagasz, Pete?

— W pewnym sensie. — Skinął głową, ostrożnie, jakby był już w wieku swojego ojca. — Przynajmniej jest to początek problemu.

— Widzisz, byłem odizolowany wśród Ythrian. Moi pobratymcy współczuli mi, ale nie mieli nic do powiedzenia, czego bym już nie wiedział. Jednak Nowa Wiara… Weź pod uwagę, że nie miałem zamiaru się nawracać. Liczyłem jednak na nowe elementy, świeżość, która pomogłaby mi nadać chrześcijański sens naszym ofiarom. Enherrian był tak pewien swoich przekonań…

— Rozmawialiśmy, rozmawialiśmy i rozmawialiśmy, w czasie gdy odzyskiwałem siły. Był tak samo w pułapce jak ja. Nie dlatego, że nie

mógł dopasować naszych problemów do swojego schematu. To było łatwe. Okazało się jednak, że Nowa Wiara nie ma satysfakcjonującej odpowiedzi na problem zła. Mówi, że Bóg pozwala na niegodziwość, abyśmy mogli zyskać na honorze walcząc w słusznej sprawie. Tak naprawdę, kiedy się nad tym zastanowić, to jest słabe, zwłaszcza jeśli mówimy o mięsożernych Ythrianach. Czyż nie tak?

— Ty ich znasz, ja nie — westchnąłem. — Sugerujesz, że mają lepszą odpowiedź na zagadkę bólu niż twoja własna religia.

— Ona wydaje się lepsza.

W jego lekko niepewnym głosie pobrzmiewała desperacja:

— Oni są myśliwymi, a przynajmniej byli nimi do niedawna. Tak więc, postrzegają Boga w taki właśnie sposób, jako Myśliwego. Nie Oprawcę – musisz to absolutnie zrozumieć – nie. On raduje się naszym szczęściem tak, jak my moglibyśmy się radować, widząc bawiące się zwierzę. W końcu jednak przychodzi po nas. Naszą najszlachetniejszą chwilą jest ta, gdy wiedząc, że nie można Mu się oprzeć, dajemy Mu dobry pościg, dobrą walkę.

— Wtedy On zyskuje na honorze. I przez to, wspierany jest jakiś nieskończony cel. (Ten sam, kiedy ja chwalę mojego Boga? Skąd mam to wiedzieć?) Jesteśmy martwi, upolowani, pozostając najwyżej przez kilka lat we wspomnieniach tych, którzy tym razem mu uciekli. I po to tu jesteśmy. Dlatego Bóg stworzył wszechświat.

— Ta wiara jest stara — zauważyłem. — Nie wierzy w nią tylko paru świrów. Nie, jest wyznawana od wieków przez miliony rozumnych, inteligentnych i wykształconych istot. Można według niej żyć, można według niej umrzeć. Jeśli nawet nie rozwiązuje każdego paradoksu, to rozwiązuje przynajmniej niektóre, których twoja wiara nie rozwiąże. To jest twój dylemat, prawda?

Ponownie skinął głową.

— Księża kazali mi odrzucić fałszywe wyznanie wiary i uznać stojącą za tym tajemnicę. Żadna z tych instrukcji nie wydaje mi się właściwa. Lecz może proszę o zbyt wiele?

— Przepraszam, Pete — powiedziałam zupełnie szczerze. To bolało. — Ale skąd mam to wiedzieć? Kiedyś, raz spojrzałem w otchłań i niczego nie zobaczyłem, i od tamtej pory już tam nie zaglądam. Ty wciąż w nią patrzysz. Kto z nas jest bardziej odważny? Może znajdziesz właściwe słowa w Księdze Hioba. Nie wiem, mówię ci, nie wiem.

Słońce wzeszło wyżej, ponad płonący horyzont.

KONIEC

Wprowadzenie do „Bezskrzydli”

Reszta wydaje się być wiedzą ogólnie znaną: jak w końcu, nieuchronnie, tajemnica istnienia Mirkheimu została rozdarta; jak konkurencja o jego posiadanie doprowadziła do Wojny Babura; jak ten konflikt zmienił się w pierwszą wojną domową we Wspólnocie i zadał Lidze Polesotechnicznej śmiertelną ranę. Organizacja ta przetrwała jeszcze kolejne sto terrańskich lat, słabnąc i rozpadając się; w rzeczywistości przestała już być tym, czym była na początku - dumnym obrońcą wolności. Ostatecznie Wspólnota również upadła. Kłopoty zostały pokonane dopiero wraz z powstaniem i ekspansją Imperium - a jego wewnętrzny pokój często okupiony bywa obcą przemocą, o czym przekonały się Ythri i Avalon. Niech na zawsze będzie cześć tym, dzięki których dumie aż do śmierci, zachowaliśmy prawo do samodzielnych rządów!

Z pewnością wiele z tego ducha przeniosło się w czasie z czasów Davida i Coyi Conyon/Falkayn. Kiedy poprowadzili na tę planetę ludzi, którzy chcieli znaleźć nowy dom, było to czymś więcej niż tylko ucieczką przed chaosem, którego wybuch przewidzieli; oni wznieśli na nowo odwieczny sztandar wolności. Kiedy uzyskali ochronę i współpracę Ythri, wiedzieli - jest to zapisane w ich pismach - jak bogata i silna planeta musi powstać ze wspólnego stopienia się dwóch, tak niepodobnych do siebie, ras.

Tak dalece sięga powszechna mądrość. Jeśli zaś chodzi o stworzenie i historię naszego choth na Avalonie, zostało to opisane w „The Sky Book of Stormgate”.

Jednak Hloch ma wam jeszcze trochę do przekazania, zanim jego własny cel zostanie w pełni osiągnięty. Jak dobrze wiecie, nasze wyjątkowe społeczeństwo nie powstało bez trudu. Zwłaszcza we wczesnych latach naszego współistnienia, nieporozumienia, konflikty, gorycz, a nawet wrogość często wbijały swe szpony w mieszkańców Avalonu. Czy słyszeliście wiele o tym, jak to wyglądało ze strony ludzi? Raczej nie. Wypada, żebyście się dowiedzieli.

Dlatego Hloch wybrał dwie ostatnie opowieści jako reprezentatywne. To, że są one opowiedziane z młodzieńczego punktu widzenia, jego zdaniem jest rzeczą słuszną.

Pierwsza z nich to ostatnia opowieść, jaką Judith Dalmady/Lundgren napisała dla „Morgany”. Chociaż była wtedy już w podeszłym wieku, wspomnienia, z których czerpała, były ciągle świeże.

Hloch z Choth Stormgate
„The Earth Book of Stormgate”

Bezskrzydli
(Wingless)

Children of Infinity, Roger Elwood, ed., Franklin Watts, 1973

O ile nam wiadomo - chociaż jak wiele tak naprawdę wiemy, po tym jednym zakątku galaktyki, jaki odrobinę przebadaliśmy - Avalon był pierwszą planetą, na której dwa różne inteligentne gatunki założyły wspólną kolonię. Tak więc, wiele kwestii było niemożliwych do przewidzenia, nie tylko w odniesieniu do samego globu, którego sekrety zostały ledwie napoczęte przez pierwotnych odkrywców, ale także w odniesieniu do przyszłości takiej mieszanej ludności. Osadnicy zaczęli od osiedlenia się na Wyspach Hesperyjskich, które były mniej narażone na występowanie śmiertelnych niespodzianek niż kontynent. Zaś obie rasy wybrały dla siebie różne tereny.

Stosunki między nimi były oczywiście serdeczne. Obie rasy z niecierpliwością wyczekiwały dnia, w którym ludzie i Ythrianie zajmą kontynenty i zamieszkają na nich razem. Lecz na początku wydawało się rozsądne, aby unikać rozmaitych możliwych tarć. W końcu nie mieli ze sobą prawie nic wspólnego, poza mniej lub bardziej podobną biochemią, ciepłą krwią, żyworodnością i nadzieją na nowy początek na nieskalanej planecie. Niech poznają się stopniowo, niech wzajemne relacje rozwijają się w niewymuszony sposób.

Dlatego, w początkach swego życia Nat Falkayn rzadko widywał skrzydlatych. Kiedy jakiś Ythrianin od czasu do czasu miał coś do załatwienia w Chartertown, to raczej z dziadkiem Davidem, a później z ojcem Nicholasem, ale z pewnością nie z małym chłopcem. Nawet gdy jakaś podobna orłom istota zjawiała się jako gość na obiedzie, rozmowa rzadko prowadzona była w Anglicu. Zirytowany tym Nat rzucił się wręcz w wir nauki języka Planha, wymaganej od niego w szkole. Lecz wysiłek ten opłacił się jednak dopiero, kiedy miał siedemnaście avalońskich lat - dwanaście lat na Matce Ziemi, której nigdy nie widział, a z której w jego ciele nie pozostał niemalże żaden atom.

W tym czasie osady archipelagu rozrosły się do tego stopnia, że przywódcy byli gotowi zasiać ziarno osadnictwa na kontynencie Korona. Przedtem jednak należało wiele rzeczy zbadać i zaplanować. Nicholas Falkayn, inżynier, był jednym z ludzi, którzy dołączyli do kolegów Ythrian

w zespole badawczo-rozwojowym. Jego centrala znajdowała się akurat w głównej siedzibie sprzymierzonego gatunku, znanej jej mieszkańcom jako Trauvay, a ludziom jako Wingland. Miał tam pracować przez wiele cykli księżyca Morgany, z których każdy równał się niecałej połowie miesiąca lunarnego. Zabrał więc ze sobą żonę i dzieci.

Nat był jedynym chłopcem w swoim przedziale wiekowym. Nie brakowało jednak młodych Ythriańskich towarzyszy.

— Hjaa-aah! — W wirze i trzasku powietrza Keshchyi poderwał się z podłogi balkonu i wzbił się w górę. Światło słoneczne odbiło się na jego piórach. Na dół spłynęło świszczące, trąbiące wyzwanie: — Na co czekasz, błotniaku?

Thuriak, mniej porywczy niż jego kuzyn, rzucił Natowi ostre, spojrzenie żółtych oczu.

— No co, lecisz? — spytał.

— Ch…chyba tak — wymamrotał człowiek.

— *Coś cię niepokoi* — stwierdził Thuriak, lecz nie głosem. Niesamowicie ruchome Ythriańskie upierzenie może przemieszczać po całym ciele fale o określonym znaczeniu, wyrażając w ten sposób znaki i symbole często więcej mówiące niż słowa. Nat w ramach lekcji Planha nauczył się pewnych konwencjonalnych póz. Lecz obecnie, w czasie dni nawiązywania prawdziwej znajomości z żywymi stworzeniami braterskiego gatunku, coraz częściej czuł się jak głuchoniemy.

Mógł jedynie odpowiedzieć, niezgrabnym, bezpośrednim głosem:

— Nie, nic mi nie jest. Naprawdę. Po prostu zastanawiam się, czy nie powinienem przynajmniej zadzwonić do matki i zapytać…

Głos mu zamarł. Thuriak zdawał się okazywać pogardę. A przecież był to łagodny, troskliwy młodzieniec, zupełnie niepodobny do apodyktycznego Keshchyi…

— *Jeśli musisz, jak jakieś pisklę*. — Czy naprawdę to było wypisane na brązowych piórach, czerni i bieli grzebienia oraz ogona?

Nat poczuł się bardzo samotny. Był zachwycony, kiedy jego rówieśnicy, z którymi parę razy porozmawiał i zagrał w kilka gier, zaprosili go do spędzenia ferii w Tygodniu Wolności, w ich domu. Z pewnością cała rodzina znana jako Weathermaker Choth okazała mu uprzejmość, jeśli nie bliskość - poza kilkoma kpiącymi uwagami Keshchyi, z których ten prawdopodobnie nie zdawał sobie sprawy, jakie były bolesne. Rodzice z radością zgodzili się go puścić.

— To krok w przyszłość — wykrzyknął ojciec. — Nasze dwa rodzaje będą musiały poznać się od podszewki. To zadanie dla twojego pokolenia, Nat… a ty je właśnie rozpoczynasz.

Lecz Ythrianie byli naprawdę obcy, i to nie tylko jako społeczeństwo. Do szpiku kości, do najdalszych głębi ciała i cząsteczek genów, nie byli ludźmi. Nie było sensu udawać, że jest inaczej.

„Inni” niekoniecznie oznaczało „gorsi”. Czy też może, łamiąc serce, "lepsi"? Albo „szczęśliwsi”? Czy Bóg był w bardziej radosnym nastroju, kiedy tworzył Ythrian, niż kiedy tworzył człowieka?

Być może, nie. Ythrianie byli kompletnymi mięsożercami, urodzonymi myśliwymi. Może to był powód, dla którego pozwalali, ba, zachęcali swoje młode do różnych lekkomyślnych wyczynów, akceptując ze stoickim spokojem fakt, że mniej zdolni i pechowcy nie wrócą z nich żywi…

Keshchyi zbliżył się do nich. Nat poczuł podmuch powietrza spod jego skrzydeł.

— Przykleili cię do tego miejsca? — krzyknął. — Przypływu nikt nie przykleił, od razu mogę ci to powiedzieć. Jeśli chcesz lecieć, to na litość boską, ruszaj się!

— On ma rację — oznajmił spokojniej Thuriak. Cały jednak drżał z ochoty.

Nat przełknął ślinę. Jakby w poszukiwaniu jakiejś znajomej rzeczy, czegokolwiek, jego spojrzenie omiatało okolicę.

Stał na balkonie wysokiej kamiennej wieży, w której mieszkały najważniejsze rodziny. W dole znajdował się brukowany dziedziniec i drewniane budynki. Łąki, na których pasły się zwierzęta na mięso, opadały w dół, porośnięte ziemską trawą i koniczyną, ythriańskimi gwiezdnymi dzwoneczkami i chaszczami, ziemskimi dębami i sosnami, ythriańskimi wstęgokorami i drzewami miedzianymi, aż uprawy te ustępowały miejsca czerwonawej macie rodzimego susinu, z rzadka porozrzucanymi miejscowymi krzewami intensywnie zielonego ornatu oraz delikatnie błękitnego janie. Słońce Laury o poranku wstało wielkie i złociste, ponad odległą rtęciową linią horyzontu na oceanie. Po niebie błąkało się jeszcze kilka kłębiastych obłoczków i blady, niknący duch Morgany. Stado avalońskich dracul przemknęło w zasięgu wzroku, a ich skórzaste skrzydła wyglądały niezdarnie w porównaniu z upierzoną wspaniałością lotek Keshchyi. W okolicy nie było widać żadnych dorosłych Ythrian, którzy oddalili się gdzieś w swoich sprawach.

Nat, niski i szczupły, z potarganymi brązowymi włosami nad szczupłą twarzą, czuł się przytłoczony ogromem nieba.

Wiatr szemrał, pieścił jego twarz chłodem, niósł mu zapach liści i dalekich przestrzeni, przydymioną woń ciała Thuriaka.

Choć młody, był on prawie równie wysoki jak dorosły Ythrianin, co oznaczało, że był mniej więcej wzrostu Nata. Stał na ogromnych skrzydłach, złożonych ku dołowi, ze szponami na głównych przegubach, służącymi za coś w rodzaju stóp. Kończyny, które u jego ptasich przodków były nogami i szponami, u niego zmieniły się w ramiona i dłonie.

Jego tułów cechowała ptasia sztywność i wystająca kość mostkowa, lecz głowa, dumnie spoczywająca na dosyć długiej szyi, pod grzebieniem była prawie ssacza - miała wyprofilowany pysk, płowe oczy, usta, których wargi wyglądały dziwnie delikatnie na tle silnych kłów; posiadała brwi, ale jej czaszka wybrzuszona była do tyłu, aby pomieścić bardzo sprawny mózg.

— No to, lecisz? — zaczął dopytywać się Thuriak, podczas gdy Keshchyi gwizdał na niebie. — A może wolisz zostać tutaj? Tak chyba będzie dla ciebie lepiej.

Krew uderzyła Natowi do skroni. „Nie pozwolę tym stworom naśmiewać się z ludzi!”, przemknęło mu przez myśl. Jednocześnie zdawał

sobie sprawę z tego, że zachowuje się głupio, że powinien skonsultować się z matką - i równie dobrze zdawał sobie sprawę, że tego nie zrobi, że nic na to nie poradzi.

— Lecę — warknął.

— *Dobrze* — odparło upierzenie Thuriaka. Ythrianin opuścił ręce na podłogę i stanął na nich na chwilę, rozpościerając skrzydła. Prześwitujące przez światło sprawiło, że jego skrzydła wyglądały jakby się w nim roztapiały. Pod nimi, rozwarły się na krótko przypominające skrzela szczeliny, „biologiczne doładowania", które umożliwiały zwierzęciu tej wielkości latanie w warunkach zbliżonych do ziemskich, tworząc jakby rząd purpurowych jam. W pośpiechu i również z hukiem powietrza Thuriak wzbił się do góry.

Zataczał zawrotne kręgi, wznosząc się coraz bardziej ku szybującemu kuzynowi. Wymienili między sobą okrzyki. Ythrianin w locie spalał więcej jedzenia i powietrza niż człowiek; mówiono, że robił się bardziej żywy.

„Ale ja nie jestem Ythrianinem", pomyślał Nat. Do oczu napłynęły mu łzy. Otarł je ze złością grzbietem nadgarstka i sięgnął ręką do pasa grav.

Otaczał jego kombinezon w talii. Nat miał na plecach dwa cylindry pakietu zasilającego. Mógł wzlecieć w powietrze, mógł latać godzinami. Lecz jakże to było nędzne!

Opuszczając wieżę, poczuł lekkie, stałe wibracje jednostki napędowej, pulsujące na jego brzuchu. Sięgnął palcami, aby wyregulować stery, wyrównać lot i skierować się na północ. Wiatr wiał, przenikliwy i ostry, smagając mu oczy, aż musiał opuścić gogle skórzanego hełmu. Ythrianie mieli do tego celu przezroczyste trzecie powieki.

W ciągu ostatnich kilku dni z wolna docierało do niego – szczególnie w nocy, kiedy leżał na pryczy ustawionej dla niego w gnieździe młodych samców i musiał tłumić szloch, by ktoś go nie usłyszał - jak dobrze te istoty posiadły swe bezkresne niebiosa, w przeciwieństwie do jego rodzaju.

Maszyna, która go niosła, brzęczała, brzęczała. Poruszał się w powietrzu po linii prostej, podczas gdy jego towarzysze nurkowali i wzbijali się, rozkoszując się wolnością nieba, która była ich przyrodzonym prawem.

Północny brzeg zakrzywiał się, tworząc małą zatokę. Za susinem, pasem krzewów oraz łukiem wydm, jej wody lśniły czystym niebiesko-zielonym blaskiem, a na przeciwległym skraju rozbijały się wściekle na rafach fale. Kilku młodych ludzi trzymało tu żaglówki. Byli wśród nich Keshchyi i Thuriak.

Ale… po cichu zmodyfikowali swoje łodzie, aby można było nimi pływać na otwartym morzu. Dziś zaproponowali, że wypuszczą się na nie.

Po wylądowaniu Nat czuł się odrobinę mniej nieszczęśliwy. Na ziemi to on był zwinniejszy, zaś Ythrianie powolni i ograniczeni. To był kiepski kompromis, pomyślał ponuro. Mimo to mógł się im do czegoś przydać. Czy to był prawdziwy powód, dla którego zaprosili go na ten dziewiczy rejs?

„Jeśli chodzi o Keshchyi, to bez wątpienia tak”, pomyślał chłopak. „Thuriak wydaje się lubić mnie jako człowieka… Wydaje się.” Jego spojrzenie przesunęło po wyniosłym, nieludzkim obliczu Thuriaka i choć było ono pełne ekspresji, nie potrafił wyczytać z niego nic bardziej subtelnego niż naturalne podekscytowanie.

— No, dalej! — Keshchyi niemal tańczył w zniecierpliwieniu. — Start! Do Nata: — Ty pociągnij za dziób. My popchniemy rufę. Skaczemy!

Przez jedną, pełną gniewu chwilę, Nat rozważał czy nie powiedzieć mu, żeby poszedł sobie do diabła i wrócić samotnie do domu. Wiedział, że nie powinno go tutaj być, na tej niebezpiecznej łódce, bez wcześniejszego poinformowania rodziców. Cały ten pomysł został mu przedstawiony z nagłością ataku drapieżnika… „Nie, pomyślał. Nie mogę pozwolić im aby uwierzyli, że skoro jestem człowiekiem, to muszę być tchórzem. Pokażę im, że stać mnie na więcej.” Chwycił za drążek, który zakrzywiał się ponad dziobem, tworząc jakąś wdzięczną rzeźbę z pnączy i liści. Wygiął plecy i zmobilizował mięśnie do pracy.

Łódź z łatwością opuściła swe miejsce spoczynku i przepłynęła przez płyciznę przy plaży. Była to smukła łódka bez pokładu, o prawie płaskim dnie i długości około czterech metrów. Pojedynczy maszt spoczywał na wspornikach. Ziarnisty piasek pod cienkimi butami Nata, ustąpił nagle miejsca wodzie wirującej wokół nogawek jego spodni. Łódź wydała z siebie chrzęst, gdy uniosła się na jej powierzchni.

Keshchyi i Thuriak wskoczyli na pokład jednym ruchem. Nat musiał wykonać niezdarną przeprawę przez nadburcie i stanął na dnie łodzi, ociekając wodą. W międzyczasie pozostała dwójka podniosła maszt, zabezpieczyła jego sztagi, zaczęła rozpinać foka oraz grota. Był to ciekawy takielunek, z elastycznym gaflem prawie tak długim jak bom. Syntetyczna tkanina zatrzeszczała na wietrze.

— Hej, poczekajcie chwilę — powiedział Nat. Ythrianie rzucili mu puste spojrzenia, a on zdał sobie sprawę, że mówi po angielsku. „Czy oni nigdy nie pomyśleli, że warto byłoby zadać sobie trud nauczenia się jego języka, tak jak on nauczył się ich?” Przerzucił się na Planha: — Sam żeglowałem trochę wokół Pierwszej Wyspy i wiem… ech, jak to się nazywa? — Rumieniąc się z zażenowania, szukał sposobu na wyrażenie swojego pomysłu.

Thuriak mu pomógł. Po kilku chwilach wysiłku, doszli do porozumienia.

— Widzisz, my nie mamy ani kilu, ani miecza i zastanawiam się, jak mielibyśmy halsować — wyjaśnił Ythrianin. — Dziwię się, że sportowcy z waszej rasy nie zaadaptowali naszego projektu. — Obrócił w górę skomplikowaną, zakrzywioną deskę, samoregulującą się za pomocą łopatek. — To oddziałuje z wiatrem, zapewniając boczny opór. Brak jest oporu wody. To znacznie szybsze niż wasze jednostki. Będziemy pływać jak wodolot.

— Wspaniale! — zachwycał się Nat.

Jego radość zmalała, gdy Keshchyi oznajmił protekcjonalnym tonem:

— No cóż, oczywiście, znajomość ruchów powietrza przychodzi nam w naturalny sposób.

— A więc wypływamy — zaśmiał się Thuriak. Ujął rumpel w prawą dłoń, a szoty foka w lewą; pazury skrzydeł chwyciły się pręta specjalnej grzędy. Trzepoczące żagle napięły się. Łódź ruszyła do przodu.

Skulony na dnie łodzi - nie było tu żadnych ławek - Nat widział, jak woda wiruje, słyszał, jak syczy, poczuł dreszcz prędkości i smak soli na ustach. Łódź osiągnęła prędkość ślizgu i pomknęła po powierzchni gładkim pędem. Brzeg został daleko za rufą, fale zrobiły się ogromne i głośne, przerażająco szybkie.

Nat zachłysnął się. „Nie, nie okażę im cienia niepokoju.” W końcu wciąż miał na sobie pas. W razie wywrotki lub czegokolwiek innego, mógł uciec na brzeg. Ythrianie też mogli. Czy to dlatego nie zawracali sobie głowy noszeniem kamizelek ratunkowych?

Rafy były z jakiegoś ciemnego koraloidu. Tworzyły niemal nieprzerwaną, niską ścianę przy wejściu do laguny. Fale przyboju uderzały w nie zielono-jasnymi grzbietami, rozbijały się o ich postrzępione zęby, eksplodowały pianą z dudniącym w kościach grzmotem. Kotłowały się w ogromnych kłębach. Wokół skał czepiały się gęste, brązowe sieci atlantydzkich wodorostów, oderwane od jakiejś większej masy, daleko na morzu. Mrużąc oczy, Nat z trudem dostrzegł wąski otwór, do którego skierował się Thuriak.

„Nie podoba mi się to, nie podoba mi się to ani trochę”, słysząc te pierwotne trzaski, pomruki i głodne ssanie wody, przeszedł przez niego chłodny dreszcz.

Thuriak nacisnął na ster. Łódź zmieniła kurs z hurkotem bomu i gafli, trzaskaniem płótna żaglowego, dźwiękami, które zatonęły w huku huraganowego wiatru. Na nowym halsie rzuciła się w stronę przejścia. Thuriak wygwizdał swą radość. Keshchyi rozpostarł pióra, które zabłysły jasno w słońcu, marszczone porywami wiatru.

Łódź zanurkowała między rafy. Niewidzialna sieć wodorostów złapała ster. Fale przyboju i podmuchy wiatru pochwyciły łódź w swe szpony. Kadłub uderzył w grzbiet rafy. Ostre krawędzie skał pocięły deski, jak zęby piły. Fale porwały łódź i zaczęły walić nią, rozbijając ją na kawałki.

Nat znalazł się w powietrzu jeszcze zanim zorientował się, co tak naprawdę się wydarzyło. Unosił się nad biało-zieloną kipielą i rozglądał się gorączkowo dokoła. Dostrzegł Thuriaka, unoszonego prądami powietrza, z przerażeniem wypisanym na każdym piórze, ale żywego, bezpiecznego… Gdzie był Keshchyi?

Nat wykrzyknął to pytanie. Przez hałas kipieli dotarł do niego niewyraźny krzyk:

— Nie wiem, nie widzę go, czy gafel przeleciał nad nim? — zaś sam Thuriak krążył dokoła, oszalały ze strachu.

Wyrwał mu się okrzyk.

— Tam! — I czysty lament: — Nie, nie, och, Keshchyi, mój krewny-bracie, mój przyjacielu…

Nat rzucił się, by dołączyć do Ythrianina. Wiatr wczepiał w niego swe pazury; fale przyboju wypełniały mu głowę wściekłym hukiem. Wytężył oczy przez pełną goryczy mgłę. I zobaczył…

…Keshchyi, z jednym skrzydłem zaplątanym w skłębione wodorosty, poniewieranego straszliwie przez fale, które go zalewały, wciągały pod wodę, odrzucały na chwilę do tyłu i przeciągały go wzdłuż brzegu rafy, raniąc do krwi.

— Możemy go przytrzymać! — zawołał Nat. Po chwili zrozumiał jednak to, co Thuriak widział już wcześniej - że to nic nie da. Mata zielska, która trzymała Keshchyi, miała kilkanaście metrów długości i szerokości. Musiała ważyć z tonę albo i więcej. Nie uda im się go podnieść, chyba że ktoś z nich rzuci się w wodę, aby go wyswobodzić.

A Ythrianie, skrzydlaty, podniebny lud, po prostu nie umieli pływać. Było to dla nich kompletną niemożliwością. Pomoc z góry mogła co najwyżej utrzymać ofiarę przy życiu, przez dodatkową minutę lub dwie.

Nat rzucił się w dół.

Chaos szalejącej wody pochwycił go w swe szpony. Wziął pełny oddech i wstrzymał go, gdy został wciągnięty w lodowatą głębinę. „Zachowaj spokój, zachowaj spokój, panika zabija.” Prądy były silniejsze od niego. Ale on miał cel, którego one nie posiadały. Miał na tyle dużo rozumu, aby je wykorzystać. Niech wciągną go w swe wiry - poczuł, jak policzek ociera mu się o kamień - ponieważ wyrzucą go z powrotem i…

Jakimś cudem znalazł się przy Keshchyi. Przebijał się przez wodę, łykając powietrze kiedy tylko mógł, w górę i w dół, w górę i w dół, do przodu i do tyłu, nieustannie szarpiąc, aby rozplątać pęki łodyg wokół skrzydła, aż w końcu Keshchyi się uwolnił.

Thuriak wyciągnął rękę. Keshchyi ją pochwycił. Oszołomiony, ranny, z przemoczonymi piórami, nie był w stanie unieść się w powietrze, a Thuriak też nie mógł sam go wyciągnąć.

Bałwan rzucił Nata do przodu. Jego głowa już leciała w stronę rafy, na której ich łódź roztrzaskała się na kawałki. Ledwie zdążył dotknąć kontrolki pasa grawitacyjnego i wzbił się w powietrze.

Chwycił Keshchyi za drugie ramię i przełączył moc swojej jednostki na „Maksymalny ciężar”. Razem z Thuriakiem przenieśli towarzysza na ląd.

— Moje życie należy do ciebie, Nathanielu Falkaynie — powiedział Keshchyi w domu. — Błagam o pozwolenie, abyś uczył mi ten zaszczyt.

— Tak, tak — przez szeleszczący mrok, w którym zebrał się Choth Weathermaker, przebiegł szept.

— Eeee… — wymamrotał Nat. Jego policzki były gorące. Chciał powiedzieć: „Proszę, tylko nie mówcie moim rodzicom, w jakie kłopoty wpakowałem ten mój głupi tyłek”. Lecz to nie zabrzmiałoby zbyt uprzejmie, podczas tej uroczystej ceremonii, jaką zorganizowali dla niego przyjaciele.

W końcu jednak się zakończyła, a on i Thuriak mieli szansę wymknąć się sami na ten sam balkon, z którego wystartowali. Krótki dzień na Avalonie, chylił się ku zmierzchowi. Promienie słońca kładły się równo na polach. Odbijały się od morza, za którym znajdowały się domy ludzi. Powietrze było spokojne, chłodne i pełne zapachu rosnących roślin.

— Wiele się dziś nauczyłem — oznajmił poważnie Thuriak.

— Mam nadzieję, że nauczyłeś się bardziej ostrożnego zachowania na łodzi — Nat próbował się roześmiać. „Chciałbym, żeby w końcu przestali robić wokół mnie całe to zamieszanie”, pomyślał. „Z czasem dadzą spokój, a my będziemy mogli się w końcu odprężyć i cieszyć sobą nawzajem. W międzyczasie jednak…”

— Dowiedziałem się, że dobrze jest, gdy mocne strony różnych ludzi są odmienne, aby można było się nimi dzielić.

— No tak, jasne. Czyż nie taka właśnie była idea tej kolonii?

Stojąc tam, w pół drogi między niebem a morzem, Nat przypomniał sobie pływanie, nurkowanie, surfowanie, od maleńkości, przez wszystkie lata jego życia; jasność i śmiech wody, która pieściła mu twarz i obejmowała jego ciało, jazdę na wspaniałych falach i wyprawy w tajemnicze mroczne głębiny, nagłe zdumiewające piękno ryb lub falującego piaszczystego dna, taniec światła słonecznego nad głową… po czym popatrzył na Ythrianina i zrobiło mu się go trochę żal.

KONIEC

Wprowadzenie do „Akcja ratunkowa na Avalonie”

W swoim ostatnim rozdziale Hloch powraca do *Opowieści z Wielkiego Pogranicza* A. A. Craiga. Autor był Terraninem, który podczas przerwy w Kłopotach, kilka okresów życia po Zaborze Planety, wiele podróżował, zbierając materiały do swoich opowieści historycznych. Kiedy odwiedził Avalon usłyszał o pewnym incydencie od starszej już wtedy osoby, która go sama doświadczyła, i na tej podstawie stworzył poniższą historię. Choć ma ona charakter fabularyzowany, relacja jest zasadniczo dokładna. Choć nie dotyczy ona ważnej sprawy, wydaje się być odpowiednią na zakończenie.

Hloch z Choth Stormgate
„The Earth Book of Stormgate”

Akcja ratunkowa na Avalonie

(Rescue on Avalon)

Boys' Life, July 1973

Ythrianin przeleciał nad nim, tworząc wspaniały widok. Światło słoneczne na piórach lecącego, zmieniało jego sześciometrowej rozpiętości skrzydła i dumnie uniesioną złotooką głowę, w pomnikowy brąz. Grzbiet i ogon Ythrianina były białe jak ośnieżone szczyty wokół nich, lekko poznaczone czernią. Panował nad wiatrem jak jakiś jego dumny pogromca.

Wbrew sobie Jack Birnam przyznał, że widok był piękny. Ale jedynie z obowiązku uniósł lornetkę do oczu. Gdyby istota wykonała jakiś pozdrawiający gest, byłby winien swej rasie grzeczność jego odwzajemnienia, a Ythrianie często zapominali, że ludzki wzrok jest słabiej

wyostrzony niż ich. „Muszę zachować szczególną uprzejmość, skoro jestem w kraju, który należy do nich”, pomyślał chłopiec. Ogarnęła go fala goryczy. „A to co jest w tej chwili niezbędne, musi zostać zrobione. Och, niech diabli wezmą ten nasz wiecznie dobijający targów Parlament!”

W powiększeniu wyraźnie zobaczył łukowaty pysk drapieżnika z dziwnie delikatnymi wargami; szpony, które ewolucja przekształciła w dłonie; pazury na „łokciach” skrzydeł, które służyły mu na ziemi jako stopy; przypominające skrzela szczeliny w ciele - miechy pompowane przez mięśnie skrzydeł, biologiczna turbosprężarka umożliwiająca stworzeniu tej wielkości wzbicie się w powietrze. Po upierzeniu mógł nawet dostrzec, że był to mężczyzna w średnim wieku, a po ozdobnym pasie, sakiewce i sztylecie, które miał na sobie, można było sądzić, że nie był on pozbawiony pewnego znaczenia.

Choć Ythrianin bez wątpienia zauważył Jacka, nie dał żadnego znaku. Pewnie takie były ich zwyczaje. Choth różniły się między sobą tak samo jak ludzkie narody, a Jack pamiętał, że ludzie ze Stormgate, którzy mieli się przeprowadzić w te strony, byli dosyć powściągliwi. Niemniej jednak chłopak mruknął do siebie pod nosem:

— Możesz to sobie nazywać godnością, jeśli taka twoja wola. Ja nazywam to snobizmem i też cię nie lubię.

Istota coraz bardziej malała, aż wreszcie zniknęła za jakimś odległym grzbietem górskim. „Pewnie zmierza do Peace Deep, po drugiej stronie, na polowanie”, pomyślał Jack. „Ja też chciałem się tam udać… Zresztą, czemu nie? Raczej go nie spotkam; ja nie zejdę do wąwozu. W górach znajdzie się wystarczająco wiele miejsca dla nas obu - na jakiś czas, dopóki jego ludzie nie przybędą tutaj i ich nie zasiedlą.”

Zawiesił lornetkę na stelażu plecaka i znów zaczął wędrować w samotności.

Najwyższe góry na planecie Avalon należą do Pasma Andromedów. Jest to jednak nazwa nadana im przez ludzi. Nie bez powodu Ythrianie, którzy dołączyli do nich w kolonizacji, nazywają ten region Weathermother. Niemal dokładnie dwa dni - dwadzieścia dwie godziny - po tym, jak zobaczył nieznajomego, Jacka Birnama dopadł huragan. Urodzony i wychowany tutaj, przyzwyczajony był do nagłych burz. Szybko obracająca się planeta zawsze często je rodziła. Jednakże gwałtowność tej ostatniej, zaskoczyła nawet i jego.

Nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo. Samotna wyprawa na dzikie tereny, nie była z jego strony żadną głupotą. Oczywiście wolałby mieć towarzysza, ale tak się złożyło, że akurat żaden z jego przyjaciół nie był wolny, a nie spodziewał się, że kiedykolwiek jeszcze będzie miał okazję odwiedzić tę ukochaną krainę. Znał ją dobrze. Zamierzał jedynie wędrować, a nie wspinać się. W wieku dwudziestu czterech lat (lub siedemnastu, jeśli liczyć w latach Ziemi, na której nigdy w życiu nie był), był twardszy niż niejeden dorosły mężczyzna. W razie poważnych trudności wystarczyło wysłać sygnał alarmowy za pomocą kieszonkowego komunikatora. Po nadaniu sygnału, samochód powietrzny z najbliższej

stacji ratunkowej na pogórzu powinien dotrzeć do niego w ciągu kilku minut.

Jeżeli niebo będzie się nadawało do latania!

Gdy wiatr się wzmógł, a z północy zawirowały ławice chmur, ciemne jak noc, poczynił szybkie przygotowania. Jego śpiwór, z kapturem i maską do oddychania, w naprawdę złych warunkach, zapewni mu ciepło w temperaturach niższych niż możliwe gdziekolwiek na Avalonie. Arkusz duraplastu, rozwinięty i rozłożony nad głową jako coś w rodzaju prowizorycznego namiotu, zatrzyma nawet gradobicie i wyrzucone w powietrze odłamki gruzu. Składana rama ze stopu metali, lekka, ale równie wytrzymała, została przymocowana do czterech kołków, których wybuchowe głowice wstrzeliły je w skałę. To schronienie nigdzie się nie wybierało. Kiedy wniósł do środka siebie oraz swój sprzęt, nie pozostawało mu nic innego, jak przeczekać kilka ryczących godzin, które wkrótce nadeszły.

Mimo to był niemal przerażony i na wpół oszołomiony furią burzy, kiedy ta wreszcie ucichła.

Wyczołgawszy się, stwierdził, że słońce już dawno zaszło. Księżyc Morgana był w pełni i świecił tak jasno, że większość gwiazd była niewidoczna. Odległe pola śnieżne błyszczały na tle błękitno-czarnego nieba; głazy i krzewy na grzbiecie, na którym obozował Jack, lśniły jak srebro, a pobliski strumień płynął jak rtęć. Chlupot i plusk wody, huk odległej katarakty, były jedynymi dźwiękami jakie słyszał. Po wyciu wiatru ten spokój wydawał się być niemal świętością. Powietrze było chłodne, ale unosiły się w nim zapachy roślin, ostrej koniczyny, słodkiego żywokostu i janie. Oddech buchał straszliwą parą.

Po długim leżeniu bez ruchu, nie mógł zasnąć. Postanowił rozpalić ogień, przygotować coś na ząb i kawę, a gdy nadejdzie świt, obserwować go. Tutaj, powyżej linii lasu, niska, twarda roślinność nie była zbytnio zniszczona. Był jednak pewien, że znajdzie mnóstwo połamanego drewna. Drzewa w dole musiały ucierpieć znacznie bardziej. Przekona się o tym rano. W tej chwili te głębiny były dla niego jedną ciemnością, oszronioną bielą przez blask księżyca.

Jego komunikator zabrzęczał. Zesztywniał. Oznaczało to ogólną transmisję na paśmie awaryjnym. Wyciągnął płaski przedmiot z kombinezonu i przełączył go na tryb rozmowy dwustronnej. Odezwał się ludzki głos:

— Obszar Mount Farview. Stacja Ratunkowa Andromeda 4 wzywa wszystkich w rejonie Mount Farview. Andromeda…

Jack uniósł urządzenie do ust.

— Odpowiadam — powiedział. W pikowanym okryciu drżał nie tylko z zimna. — John Birnam zgłasza się do ARS Cztery. Ja… Jestem sam, pieszo, ale jeśli mogę pomóc...

Mężczyzna na drugim końcu rzucił ostro:

— Gdzie dokładnie jesteś?

— To miejsce nie ma żadnej nazwy na mapie — odpowiedział Jack — ale jestem na południowym brzegu dużego kanionu, który zaczyna się około dwudziestu kilometrów na północny-wschód ku wschodowi, od

szczytu Farview. Jestem mniej więcej nad środkiem wąwozu, czyli eee… jakieś trzydzieści kilometrów dalej na wschód.

„Kanion ma jednak swoją nazwę", pomyślał. „Nazwałem go Peace Deep, pięć lat temu, kiedy po raz pierwszy tu dotarłem, ponieważ las w dole jest taki wysoki i spokojny. Ciekawe, jak nazwą go Ythrianie, kiedy już nie będę mógł tu przychodzić?"

— Mam cię — odparł mężczyzna. Musiał mieć przed sobą mapę lotniczą. — Powiedziałeś, że nazywasz się John Birnam? Jestem Ivar Holm. Nic ci się nie stało w czasie burzy?

— Nie, dzięki, byłem dobrze przygotowany. Sprawdzasz?

— W pewnym sensie. — Holm odezwał się ponuro. — Cały sektor jest w poważnych tarapatach. Prognozy dotyczące tego diabelskiego wiatru były kompletnie nieadekwatne, rażąco niedoszacowane. Przypuszczam, że nie mamy jeszcze dostatecznie dużej liczby monitorów meteorologicznych. A może kolonie są zbyt młode, by znać już wszystkie sztuczki Avalonu. Tak czy inaczej, wszystko na wzgórzach zostało zniszczone - farmy, wioski, odizolowane obozy - samochody roztrzaskane lub rozbite, w tym kilka należących do naszego korpusu. Pomimo pomocy z zewnątrz, będziemy potrzebowali wielu dni na odnalezienie i uratowanie ocalałych. Nasi piloci i medycy będą musieli zapomnieć, że kiedykolwiek istniało coś takiego jak sen.

— Stra… bardzo mi przykro — powiedział Jack bez przekonania.

— Modliłem się, żeby ktoś był tam w pobliżu. Wygląda na to, że gdzieś tam zaginął jeden z Ythrian.

— Ythrianin! — szepnął Jack.

— I to nie byle jaki. Ayan, Wyvan Stormgate.

— Co?

— Nie słyszałeś o nim? — To było bardzo możliwe. Jak dotąd ziemie obu ras nie pokrywały się zbytnio. Na terytoriach, które zajmowali, byli zbyt zajęci przystosowywaniem siebie i swoich nawyków do planety, która był dla nich obca. Jack, którego rodzina byli to morscy ranczerzy, mieszkający na wybrzeżu pięćset kilometrów na zachód, rzadko spotykał przedstawicieli drugiego gatunku. Nawet dobrze wykształconemu człowiekowi można było wybaczyć pewną niewiedzę co do szczegółów całego zestawu obcych społeczeństw.

— W choth Stormgate — powiedział Holm — słowo „Wyvan" jest tak bliskie znaczenia „wódz" lub „prezydent", jak to tylko możliwe w ich języku. A Stormgate, potrzebując więcej miejsca w miarę wzrostu populacji, nabył ostatnio całą tę część Andromedów.

— Wiem — Jack nie mógł powstrzymać się od wybuchu wściekłości. — Parlament Ludzkości i Wielki Khruath Ythrian ubili ten swój mały, sympatyczny interesik, a my, którzy spędzaliśmy tu tyle czasu, ile tylko się dało, bo kochamy ten kraj, nie byliśmy warci ich uwagi!

— Co? O czym ty mówisz? To była uczciwa wymiana. Oddali nam kawał dobrej prerii. Nie żyjemy z polowania i hodowli, tak jak oni. Nie możemy wykorzystywać gór do niczego poza rekreacją - i niewielu z nas kiedykolwiek to robiło - więc dlaczego ty i ja marnujemy czas, Birnam?

Jack zacisnął zęby.

— Mów dalej, proszę.

— No dobrze, Ayan udał się na zwiad osobiście, sam. To w stylu Ythrian. Musisz przecież wiedzieć, jak silny instynkt terytorialny ma ich rasa. A teraz otrzymałem alarmujący telefon z kwatery głównej Stormgate. Jego rodzina twierdzi, że gdyby mógł, połączyłby się z nami natychmiast po przejściu burzy i poprosił nas o przekazanie wiadomości, że jest cały i zdrowy. Ale tego nie zrobił. Nikogo też nie powiadomił, gdzie dokładnie będzie, a żaden Ythrianin na wypadzie w teren nie używa na tyle dużej ilości sprzętu, aby można go było łatwo znaleźć z powietrza.

— Nadajnik o niskiej mocy, w tym konkretnym lesie, też nie na wiele się przyda — zauważył Jack. — Rośnie tam zbyt wiele drzew żelaznych.

— Do jasnej cholery! — jęknął Holm. — Kłopoty zawsze chodzą stadami, co? — Zaczerpnął tchu. — Normalnie mielibyśmy już w górze całą flotę samochodów powietrznych, niezależnie od trudności. W obecnej sytuacji nie możemy ich wygospodarować, zwłaszcza że on może już nie żyć. Niemniej jednak - mówiłeś tak, jakbyś miał jakieś wskazówki co do tego gdzie on może być.

Jack zrobił chwilę przerwy, zanim odpowiedział powoli:

— Tak, wydaje mi się, że wiem.

— Co? Szybko, na litość boską!

— Parę dni temu przeleciał nade mną Ythrianin, kierując się w tę samą stronę, co ja. To musiał być on. Kiedy dotarłem na tę wysokość, w kanionie dostrzegłem unoszący się ponad koronami drzew dym. Bez wątpienia to jego ognisko. Przypuszczam, że polował i… No cóż, nie zwróciłem na to szczególnej uwagi, ale w przybliżeniu mógłbym wskazać to miejsce. Moglibyście wysłać zespół poszukiwawczy, w miejsce gdzie jestem?

Holm milczał przez chwilę. Światło księżyca wydawało się robić coraz zimniejsze i coraz bardziej białe.

— Nie słuchałeś mnie, Birnam? — powiedział w końcu. — Potrzebujemy każdej pary rąk i każdego pojazdu, jaki uda nam się zdobyć, każdej ich minuty, kiedy mogą być w akcji. Według mojej mapy ten wąwóz jest gęsto zalesiony. Czy chcesz powiedzieć, że mielibyśmy angażować w tę akcję ratunkową dwóch lub trzech ludzi i samochód, na wiele godzin lub dni, szukając dokładnie miejsca gdzie on jest - kiedy szanse na to, że on żyje są nikłe, a ty jesteś na miejscu?

Holm zawiesił głos. Po chwili dodał.

— Nie możesz go zlokalizować? Dowiedz się, jaka jest sytuacja, zrób, co się da aby mu pomóc i odezwij się do mnie z dokładnymi informacjami. Mając to, będziemy mogli go stamtąd wyciągnąć, bez marnowania roboczogodzin, jakie powinny być przeznaczone dla setek ludzi, o których wiemy, że da się ich uratować. Co ty na to?

Na to Jack nie miał żadnej odpowiedzi.

— Halo? — Krzyk Holma zabrzmiał słabym echem w ciemności. — Halo?

Jack ścisnął nadajnik, aż jego knykcie zrobiły się zupełnie bezkrwiste.

— Nie jestem pewien, czy dam radę — odparł w końcu.

— Co przez to chciałeś powiedzieć?

— Jestem uczulony na Ythrian.

— Co?

— To coś związanego z ich piórami - w ciągu ostatniego roku lub dwóch bardzo się to nasiliło. Wystarczy, że zbliżę się do któregoś z nich, a wkrótce ledwie jestem w stanie oddychać. I nie zabrałem ze sobą mojego antyalergenu. Nie spodziewałem się, że będę go potrzebował.

— Twój stan powinien być uleczalny.

— Lekarz mówi, że tak, ale wymaga to urządzeń, których nie mamy na Avalonie. Wiesz, transformacja RNA. Mojej rodziny nie stać na wysłanie mnie na bardziej rozwiniętą planetę. Po prostu unikam tych stworzeń.

— Może przynajmniej byś go poszukał, co? — błagał Holm. — Rozumiem ryzyko, ale jeśli będziesz bardzo ostrożny…

— O, tak — zgodził się niechętnie Jack. — Tyle mogę zrobić.

Z opanowaniem swego ludu, Ayan zamknął umysł na ból, czekając na ratunek lub śmierć. Od czasu do czasu wydawał z siebie okrzyki łowieckie, które doprowadziły do niego Jacka, gdy chłopak dotarł w pobliże. Były one jednak coraz słabsze.

Daleko w dole, na stromym zboczu, Ythrianin bardziej na wpół leżał niż siedział, opierając się o krzak ornatu. Wszędzie dokoła leżały wysokie sterty ułamków gałęzi i wykroty powalonych pni, tworząc prawdziwe splątane gąszcze, które sprawiło, że Jack musiał zmagać się z nim przez cały dzień. Niebo, ciemniejące w miarę zbliżania się zachodu słońca, przeświytywało przez szczeliny w baldachimie liści nad ich głowami. Zieleń i złoto liści innych drzew mieszały się z połyskującym, błyszczącym purpurą poszyciem drzew żelaznych.

Kość alatana w lewym skrzydle Ayana była wygięta pod paskudnym kątem. Złamanie to uniemożliwiało mu zarówno latanie jak i chodzenie. Chudy i wyczerpany, mimo to wyprostował grzbiet, gdy w polu widzenia pojawił się człowiek. Chrypka uwypukliła akcent jego wymowy w Anglicu:

— Doprawdy, witam z radością!

Jack zatrzymał się trzy metry od niego, dysząc, pocąc się pomimo chłodu, kolana chwiały się pod nim. Wiedział, że to idiotyczne, ale nie mógł wymyślić niczego innego:

— Jak… się… pan… miewa? — I czemu nazywał „panem”, tego złodzieja ziemi?

— Kiepsko co najmniej — wyrwało się z ust Ayana. — Dobrze, że się tu pojawiłeś, chłopcze. Nie przetrwałbym kolejnej nocy. Wiatr walnął ciężkim konarem w moje skrzydło i złamał mi je. Moje racje żywnościowe i ekwipunek są porozrzucane; nie sądzę, abyś sam zdołał je odnaleźć. — Trzema palcami i dwoma kciukami dłoni wskazał na przypięty do pasa nadajnik. — W jakiś sposób musiał się uszkodzić. Moje wołania o pomoc nie przyniosły żadnego odzewu.

— W tym miejscu, z pewnością. — Jack wskazał na złowrogie piękne liście, które migotały na wietrze w górze. — Nie wiedział pan? To się nazywa żelazne drzewo. Wyciąga metal z gleby i koncentruje jego

cząsteczki w liściach, aby przyciągnąć owady zapylające. Pochłania fale radiowe. Nikt nie powinien zapuszczać się w taki teren bez partnera.

— Nie byłem tego świadom - nawet sama pogoda mnie zaskoczyła. To terytorium jest dla mnie obce.

— Dla mnie to rodzinny dom. — Pięści zacisnęły się mu tak mocno, że aż paznokcie wbiły się w dłonie.

Spojrzenie Ayana wyostrzyło się obserwując Jacka. Nagle chłopak zdał sobie sprawę, jak dziwne musi wydawać się jego zachowanie. Ythrianin potrzebował pomocy, a człowiek tylko stał. Jack nie mógł tak po prostu zostawić go bez opieki; umarłby niechybnie.

Chłopiec wziął się w garść i powiedział pośpiesznie:

— Prozę mnie posłuchać. Posłuchać uważnie, bo być może nie będę w stanie tego powtórzyć. Będę musiał przedrzeć się z powrotem w miejsce, skąd będę mógł nadawać. Potem przyślą samochód powietrzny, który będę mógł skierować do pana. Ale nie mogę wyruszyć przez świtem. Zgubiłbym drogę albo skręcił kark, brnąc po omacku przez te wykroty, które zwaliła burza. Najpierw więc zrobię dla pana to, co konieczne. Lepiej zaplanujmy każdy ruch z wyprzedzeniem.

— Dlaczego? — spytał spokojnie Ayan.

— Bo pochoruję się od tego! Mam na myśli alergię - dostanę astmy i wysypki, pracując z panem. Jeśli nie zminimalizujemy naszego kontaktu, mogę być zbyt chory, by jutro podróżować.

— Rozumiem. — Mimo całej swojej niechęci, Jack był zdumiony jego opanowaniem. — Czy masz może w swojej apteczce anagon? Nie? Szkoda. Zdaje się, że to jedyny środek przeciwbólowy, który działa na oba nasze gatunki. *Hrau*. Możesz zaraz podrzucić mi swoją napełnioną manierkę i trochę jedzenia. Jestem bliski omdlenia zarówno z pragnienia, jak i głodu.

— Zdaje pan sobie sprawę, że to coś dla ludzi — ostrzegł go Jack. Podczas gdy ludzie i Ythrianie mogli jeść wiele takich samych rzeczy, w każdej z diet brakowało drugiej stronie pewnych niezbędnych składników. Co więcej, rodzime życie na Avalonie nie zapewniało odpowiedniego pożywienia dla żadnej z kolonizujących tę planetę ras. Potrzeba utrzymania odrębnej ekologii była głównym powodem, dla którego rasy te żyły oddzielnie. „Nigdy nie będę mógł tutaj wrócić”, pomyślał Jack. „Nawet gdyby nowi mieszkańcy pozwolili mi na odwiedziny, moje ciało by tego nie zniosło”.

— Zawsze to kalorie — przypomniał mu Ayan. — Choć mam pióra, które utrzymują mnie w większym cieple niż twoja skóra, ostatnia noc spaliła większość energii, jaka mi pozostała.

Jack zgodził się.

— Następnie — zaproponował — rozpalę ogień i narąbię tyle drewna, że starczy panu do rana.

Czy Ayan był zaskoczony? Twarz obcego nie była do końca czytelna. Wyglądało to tak, jakby Ythrianin chciał coś powiedzieć, a potem zmienił zdanie. Chłopak kontynuował:

— Jakiego rodzaju wstępnej opieki pan potrzebuje?

— Obawiam się, że znacznej — stwierdził Ayan. Serce Jacka zamarło. — Wdała się infekcja, a wątpię, czy masz przy sobie antybiotyk, który można by bezpiecznie u mnie zastosować, więc moje rany muszą zostać dokładnie oczyszczone. Kość musi zostać nastawiona i usztywniona, choć z grubsza. W przeciwnym razie - nie chcę narzekać, ale ból przy każdym najmniejszym ruchu jest dosłownie nie do zniesienia. Ostatniej nocy ledwo udało mi się machać sprawnym skrzydłem, dzięki czemu było mi choć w połowie ciepło. Bez wsparcia dla złamanego skrzydła nie mógłbym zachować przytomności na tyle długo, by zająć się utrzymaniem ognia.

Jack zapomniał, że nienawidzi tej istoty.

— O Boże, nie! Nie myślałem jasno. Proszę wziąć moją torbę. Mógłbym pana do niej jakoś, ehem, wsadzić.

— Zobaczymy. Najlepiej kontynuujmy planowanie i przygotowania.

Jack przytaknął ostrym ruchem głowy. Wkrótce nadszedł czas, kiedy musiał złapać głęboki oddech, wstrzymać go na jak najdłuższy czas i podejść do Ythrianina.

To było gorsze, niż sobie mógłby wyobrazić.

Po wszystkim leżał na wpół dusząc się, z oczami niemalże kurczowo zaciśniętymi, skórą rozpaloną i swędzącą, ciężko dysząc, leciały mu łzy i miał dreszcze. Przykucnięty w pobliżu ognia, Ayan popatrzył na niego przez metry zimnej, gęstniejącej ciemności, które ponownie ich rozdzieliły. Ledwo słyszał jego nieludzki głos:

— Potrzebujesz tego posłania bardziej niż ja, zwłaszcza że musisz odzyskać siły przed świtem, aby wyruszyć w drogę powrotną. Odpocznij, proszę.

Jack zmusił się do posłuszeństwa. Był zbyt nieszczęśliwy, by zdawać sobie sprawę z tego, jak miniona godzina musiała wyglądać dla Ayana.

* * *

Pierwszy brzask przekradał się ponuro między drzewami. Chłopca obudziło ochrypłe wołanie:

— *Khrraah*, *khrraah*, *khrraah*, człowieku…

Wydawało się, że przez dłuższą chwilę walczył z mgłą i pajęczynami snu. Nagle, z westchnieniem, odzyskał pełną świadomość.

Lodowate powietrze wdarło się do jego płuc przez gardło znacznie mniej opuchnięte niż wcześniej. W głowie wciąż czuł mdłości i ból, ale mógł myśleć, widział... .

Ayan leżał koło popiołów ogniska. Podniósł się na rękach, by głośno zarechotać. Grzbiet mu opadł, a oczy szkliły się.

— *Khrraah*...

Jack wyplątał się z torby i poderwał na nogi.

— Co się stało? — zawołał z przerażeniem.

— Zemdlałem... odzyskałem przytomność dopiero w tej chwili… Ból, zmęczenie i… brak pożywienia… Obawiałem się, że mogę stracić przytomność, ale miałem nadzieję, że tak się nie stanie...

To przeszyło Jacka: „Czy ja kompletnie przestałem myśleć? Poprzedniej nocy, pompował tym skrzydłem - biologiczne doładowanie rozpalające jego metabolizm ponad wszystko, czego człowiek może doświadczyć - spalał nie tylko paliwo, które pozostało jego ciału, ale także witaminy, których nie było w racjach, jakie mogłem mu dać…

— Dlaczego nie nalegał pan na to cholerne posłanie? — zawołał człowiek w udręce. — Ja nie musiałem spać!

— Nie byłem pewien, czy bez niego wytrzymasz — powiedział szorstkim szeptem Ythrianin. — Wyglądałeś na strasznie chorego i… to złe by młodzi umierali za starych... Zbyt mało wiem o waszym rodzaju… — Ythrianin skrzywił się.

— A ja o pańskim. — Jack podbiegł do niego, wziął go w ramiona, zaniósł do ciepłej torby i otulił z ogromną troską. Wkrótce oczy Ayana otworzyły się i Jack mógł go nakarmić.

Astma i wysypka nie były już tak silne jak wcześniej. W każdym razie Jack prawie ich nie zauważał. Kiedy upewnił się, że Ayan odpoczywa wygodnie, a zapasy są w zasięgu ręki, sam przełknął też parę kęsów i ruszył w drogę.

Przejście przed zmrokiem przez las żelaznych drzew będzie ciężką walką w jego kiepskiej formie. Zrobi to jednak. Wiedział, że to zrobi.

* * *

Lekarze zatrzymali go przez jeden dzień w szpitalu. Wyzdrowiał, pożyczył odzież ochronną i respirator, po czym udał się na oddział Ythrian, aby się pożegnać.

Ayan leżał w jednej z ram zaprojektowanych dla jego rasy. Był sam w swoim pokoju. Okno wychodziło na trawnik i wysokie drzewa - avalońską królewską koronę, ythriański wiatrowiec, ziemski dąb - oraz na dalekie śnieżne szczyty. Z nieba lało się światło. Powietrze śpiewało. Ayan spoglądał z tęsknotą na zewnątrz.

Odwrócił jednak głowę i uśmiechnął się, gdy do środka wszedł Jack, rozpoznając go bez względu na to, jak bardzo był naszpikowany lekarstwami.

— Witaj, wietrzny bracie — powiedział.

Chłopiec swój czas w łóżku spędził studiując zwyczaje Stormgate. Zarumienił się, bo nie można było go nazwać bardziej czułym i honorowym niż określeniem „wietrzny brat”.

— Jak się pan ma? — spytał niezręcznie.

— Dzięki tobie wyzdrowieję. — Ayan spoważniał. — Jack — mruknął — możesz podejść do mnie bliżej?

— Jasne, dopóki mam na sobie to. — Człowiek podszedł. Pazury wyciągnęły się, by chwycić jego dłoń w rękawicy.

— Rozmawiałam z Ivarem Holmem i innymi — powiedział bardzo cicho Ayan. — Masz do mnie żal, do całego mojego ludu, czyż nie?

— No cóż…

— Rozumiem. Zabieramy wam miejsce, które jest ci drogie. Jack, ty i wszyscy twoi goście będziecie tam zawsze mile widziani i będziecie mogli

wędrować, gdzie tylko zechcecie. Rzeczywiście, nadszedł chyba już najwyższy czas, by nasze dwa rodzaje zaczęły się swobodnie mieszać.

— Ale… To znaczy, dziękuję, proszę pana — zająknął się Jack — ale nie mogę.

— Twoja słabość? Tak-k-k. — Ayan wydał z siebie melodyjny ythriański odpowiednik chichotu. — Podejrzewam, że ma ona w dużej mierze podłoże psychosomatyczne i może ustąpić, kiedy minie gniew. Ale oczywiście mój choth wyśle cię poza planetę, abyś mógł się w pełni wyleczyć.

Jack mógł tylko gapić się i jąkać.

Ayan podniósł wolną rękę.

— Nie dziękuj nam. Potrzebujemy bliskości osób takich jak ty, które w potrzebie nie opuściłyby nawet wroga.

— Ale pan nim nie jest! — wybuchnął Jack. — Będę dumny, mogąc nazywać pana moim przyjacielem!

KONIEC